

Tomasz Biedrzycki



**Operacja
"THOR"**

Tomasz Biedrzycki

Operacja „Thor”

PROLOG

Na czarnym, marsjańskim niebie mrugały setki gwiazd. Wydłużone smugi rzadkich obłoków płynęły wysoko i dostojnie. Ich rzadka struktura nie była w stanie blokować feerii światła, którą Droga Mleczna raczyła zatopioną w mroku łososiową powierzchnię planety. Nad horyzontem pojawił się nieforemny, błyszczący kształt Fobosa, bliższego księżyca Marsa. Mknął z prędkością niewiarygodną dla przeciętnego człowieka z Ziemi. Jego nikłe światło przesuwawało się po długiej, niskiej galerii ciśnieniowych ciemnych okien, ciągnących się wśród poszarpanych ścian krateru uderzeniowego. Przy jednym z nich stał barczysty brunet. W milczeniu wpatrywał się w owalny kształt marsjańskiego księżyca, przesuwającego się szybko po nocnym niebie. W zamyśleniu przesunął prawą dłoń po komputerowym nadruku „James Renflov” widniejącym na jednoczęściowym kombinezonie tuż nad szerokimi kieszeniami na piersiach. W pustym korytarzu rozbrzmiał cichy szum serwomotorów. Odsłonięty rękaw ukazywał matową powierzchnię stopów tytanu będącego w ruchu przedramienia.

– Zespół „Phobos” proszony do sali odpraw – usłyszał neutralny, kobiecy głos dobiegający z słuchawki implantowanej wewnątrz ucha. Zerknął ostatni raz na marsjański księżyc, który dotarł już do zenitu. Powolne kroki poprowadziły go do końca korytarza. Błądził wzrokiem po jasnych ścianach, przedzielonych co kilkadziesiąt metrów elastycznymi, wygaszonymi teraz ekranami. Jedyne światło dobiegało zza otwartych drzwi ciśnieniowych tuż przy skrzyżowaniu ciągów komunikacyjnych, wiodących do nowo otwartego Centrum Studiów Strategicznych. Idąc tam, przez głowę przebiegały mu ostatnie tygodnie i lata. Rodzący się konflikt pomiędzy odległą Ziemią a

Marsem spowodował, że miejsca takie jak ta kolonia były opustoszałe. Jeszcze raz spojrzął w światło pustego korytarza i wszedł do środka Centrum. W przeciwieństwie do ponurej galerii widokowej, pomieszczenie wypełniał gwar kilkudziesięciu osób i dziesiątki włączonych ekranów, szczelnie wypełniających każdą wolną przestrzeń. Już z daleka dostrzegł nadchodzącego przyjaciela. Starannie dopasowany kombinezon w różnych odcieniach czerwieni, z dystynkcjami kaprała prezentował się na przysadzistym blondynie znakomicie. Nieco sztywny chód zdradzał jednak wyjątkowość Allana Gavoffa. Dwa wypadki podczas prac górniczych w okolicach Noctis Fossae pozbawiły go najpierw nóg, potem znacznej części korpusu. Mimo wielu sobie podobnych, blondyn miał prawdopodobnie najbardziej zmodyfikowane ciało spośród wszystkich marsjańskich kolonistów. James uścisnął dłoń Allana przy cichym szumie serwomotorów i rozejrzał się. Doskonale znał większość zebranych. Ochotnicy, od półtora marsjańskiego roku tworzący w pośpiechu siły zbrojne Konfederacji Marsjańskich Kolonii . Ten stosunkowo spokojny czas był już przeszłością. Ekran zasłaniający szczytową ścianę Centrum wyświetlał w czasie rzeczywistym nieforemny kształt ciężkiego pojazdu transportowego. Obserwatorium na Arsia Mons odkryło go już trzydzieści dni wcześniej i śledziło lot aż do teraz.

1

– Zgodnie z naszymi przewidywaniami – Allan rozchylił usta w szerokim uśmiechu, upodabniającym jego wychudłą

twarz do czaszki. Kiwnął krótko ostrzyżoną głową, wskazując na ekran – Chiny nam nie odpuszczą. James zerknął na ekran i przymknął na moment oczy, nie odpowiadając przyjacielowi.

– Wreszcie jest i nasz marzyciel – z zamyślenia wyrwał Renflova suchy głos szefowej centrum. Niska czterdziestolatka stanęła przed mężczyzną. Na jej twarzy nie było cienia uśmiechu, jak zwykle zresztą. Okazała za to głębokie zaniepokojenie.

– Spojrzałem jeszcze na nasz cel – mruknął James witając się z kobietą. Zerknął na jej wydatny biust, ale widząc, że szefowa nań patrzy, udał że zainteresował się plakietką z nazwiskiem „Ursula Evida” – Jest tak blisko...

– Zdecydowanie – ciężko było zakwalifikować ten błysk w oku krótko ostrzyżonej Evidy. Czy mówiła o placówce Federacji Ameryki Północnej na Fobosie czy raczej o znaczącym spojrzeniu na swoją klatkę piersiową?. James potrząsnął głową, wskazując na pozostałych.

– Wszystkie te mądre głowy są po to by radzić? – Ironia w jego głosie była wyraźna. Szefowa Centrum skinęła na obu drobną dłonią i powiodła do foteli, przy których siedziało kilku operatorów, nie zwracających uwagi na powiększającą się grupę mężczyzn i kobiet wypełniających pomieszczenie. Razem było ich może ze trzydzieści. Dla kolonii Oudemanss, przeznaczonej dla niemal pięciu tysięcy osób, taka ilość w jednym miejscu była prawdziwym tłumem.

– Mieliśmy dziewięćset dni na przemyślenia – Evida przecząco pokiwała głową – dziewięćset dni odkąd powstała Konfederacja, teraz pora na działania.... – Przed ekranem pojawił się wysoki, chudy jak szczapa, całkowicie łysy mężczyzna. Wszyscy znali go doskonale. Max Rupert odegrał jedną z najważniejszych ról podczas rewolucji trzy lata ziemskie wcześniej. To on dostarczył informacji o sabotażu, uczestniczył w

pojmaniu przysłanego z Ziemi generała Sweiterta. Jako doradca prezydenta Konfederacji i jednocześnie zwierzchnik sił zbrojnych był najważniejszą osobą na sali. Rozmowy stopniowo cichły, aż wreszcie zapanował całkowity spokój, nieprzerwany nawet szumem serwomechanizmów sztucznych kończyn. Dopiero wtedy w suchym, przesyconym zapachem metalu powietrzu rozbrzmiał stanowczy głos Ruperta.

– Witam zebranych. Wszyscy jesteście ochotnikami i dziękuję wam za poświęcenie. Informacje uzyskane przez was na tym zebraniu należą do ściśle tajnych. Jakakolwiek próba ich ujawnienia jest zagrożona karą śmierci – ponury wydźwięk tych słów potęgowała panująca wciąż cisza. Chłód panujący w centrum stał się jeszcze bardziej dojmujący.

– Jak dobrze wiecie, na orbitę Marsa jutro około dziesiątej wejdzie chiński pojazd wojskowy „Haiyang”. To wiemy z naszej telewizji i ziemskich agencji informacyjnych – wskazał dłonią na ekran rozciągający się za plecami na wizerunek chińskiego pojazdu, który rozciągał się na całym ekranie. Nie spojrzawszy nań kontynuował.

– Wywiad natomiast podał nam niepokojącą informację o uzbrojeniu rzeczonoego okrętu. Niesie dziesięć atomowych głowic o mocy stu kiloton każda. – Sylwetka pojazdu na ekranie zniknęła a zamiast niej pojawił się schemat rakiety podpisanej „Mały Marsz”.

– To prawdopodobny środek ich przenoszenia. – Tym razem Rupert zerknął na wizerunek rakiety i kontynuował.

– Doniesienia z Ziemi są wysoce nieprawdopodobne, ale według nich Haiyang ma dostarczyć do „Aldrina” na Fobosie połowę swego promieniotwórczego ładunku. Zgodzimy się wszyscy, że takie argumenty w rękach przeciwnika to śmiertelne zagrożenie dla każdej z ośmiu naszych kolonii. – Powiódł

wzrokiem po milczących, kamiennych twarzach. Każdy z nich udowodnił własnym cierpieniem oddanie marsjańskiej społeczności. Teraz, zaledwie trzy lata po zrzuceniu jarzma, gdy Ziemia upominała się o Marsa, ponownie stanęli w pierwszym szeregu.

– Sami wiecie jak jest we wszystkich koloniach. Pracujemy jak roboty, po szesnaście godzin na dobę. Niestety, nie wszystko możemy zrobić naraz i dotyczy to przede wszystkim produkcji uzbrojenia. Priorytetem było zabezpieczenie zespołu elektrowni Hybleus Fossae. Dlatego teraz posiadamy sześć wahadłowców, raket transportowych i nic, czym moglibyśmy w nich strzelić. Żaden środek transportu, jaki mamy do dyspozycji nie jest w stanie zmierzyć się z chińskim okrętem. – Na chwilę zaległa cisza, przzerwana przez cichy dźwięk serwomotorów podniesionej ręki Jamesa.

– W takim razie, co się stanie z „Hydrą”? – Renflor miał na myśli wahadłowiec klasy Kirow wracający z pasa asteroid, odkupiony od rosyjskiej kolonii Gniew zlokalizowanej na Lucus Planum. Niósł w swym wnętrzu urobek czterech miesięcy ciężkiej pracy przy asteroidzie HD-2043, zbudowanej niemal wyłącznie z platynowców.

– Zostali ostrzeżeni – naczelny dowódca nielicznej armii Konfederacji uśmiechnął się lekko, starając się rozproszyć zaniepokojenie swego rozmówcy.

– Użyją metody bezpośredniego wlotu. To ich uchroni przed ostrzałem z „Aldrina” czy „Haiyang”. Wróćmy jednak do meritum sprawy. – Wyjaśnił Rupert, skinął na operatora siedzącego najbliżej i na ściennym ekranie pojawiła się mapa Marsa z zaznaczonymi na niebiesko koloniami Konfederacji.

– Najbardziej musimy się obawiać ataku na Olympic – operator posłusznie wyodrębnił obraz największej kolonii na

Marsie i umieścił go z prawej strony głównej mapy. – Potem zespół elektrowni termojądrowych Hybleus Fossae, zespół obserwacyjny na Arsia Mons, Oudemanss, czyli wy i E-42. W przypadku tej ostatniej, nie muszę mówić, co się stanie, jeśli ich głowica zainicjuje eksplozję rafinerii deuteru. Po takiej operacji całe Ophir Chasma może stać się jednym, wielkim kraterem. Sztab generalny jest zgodny w tej ocenie, że ataki atomowe pójdą w tej kolejności. – Głównodowodzący westchnął głęboko i kontynuował.

– Oczywiście rzeczą jest, że trafienie każdej głowicy nie pozostawia najmniejszych szans na przeżycie naszym ludziom. Może w Olympic ktoś ocaleje, ale pozostali nie mają najmniejszych szans. – Wśród zebranych wszczął się ruch i zamieszanie. Spoglądali po sobie zaskoczeni pesymistyczną przemową, aż Rupert musiał uciszyć coraz głośniejszy szum rozmów.

– Panie i Panowie, spokojnie – wszystkie oczy zwróciły się na szefa sił zbrojnych, unoszącego otwarte dłonie, by tym gestem zdławić narastający hałas. Ogarnął wzrokiem salę.

– Proszę wszystkich poza zespołem szturmowym o opuszczenie sali – poprosił spokojnie Rupert, wciąż stojąc przed ekranami. Grupa przerzedziła się. Max spojrzął na jednego z operatorów, którzy wciąż siedzieli przy swoich konsolach.

– Wszystkich – powiedział do niego z naciskiem a w głosie zabrzmiała stal. Dziesięć minut później stał sam naprzeciwko czternastu śmiałków, wśród których dostrzegł cztery kobiety. Dopiero teraz odezwał się ze znacznie większą werwą w głosie, w którym pobrzmiwały nutki optymizmu.

– Nie przyszedłem wieszczyć apokalipsy, a przedstawić plan sztabu generalnego o kryptonimie „Thor”. On umożliwi

nam zyskanie na czasie. – Max Rupert odwrócił się przodem do ekranu i laserowym wskaźnikiem zaczął myszkować po ekranie, który przedstawiał teraz Marsa, Phobosa i przewidywaną orbitę chińskiego pojazdu.

– Naszym celem jest placówka Federacji Ameryki Północnej „Aldrin” na Fobosie. Zdobywając ją zyskujemy dostęp do baterii pocisków klasy kosmos-kosmos „Tapir” i dwóch dział magnetycznych. Zakładamy, że Chińczycy przed atakiem spróbują negocjacji. Prezydent Harry Loraine będzie grał w nich na zwłokę. My poczekaemy grzecznie, aż znajdą się w zasięgu. – Ostatnie słowa wypowiedział ze zjadliwą ironią w głosie. Ekran zamigotał, ponownie wyświetlając chiński pojazd. Rupert odwrócił się i z pasją w głosie mówił.

– Mamy sposób, by przerzucić dziesięciu spośród was na Fobosa. Jak wiecie, załogę „Aldrina” stanowią wojskowi. Jej ostatnia zmiana nastąpiła pół roku temu i są tam wyłącznie Ziemianie. Żaden z nich nie posiada bioniki i w tym tkwi nasza przewaga. – Twarze zebranych ożywiły się.

– Osiemnaście osób obsługi plus trzy załogi z międzyplanetarnego statku „Discovery”. Posiadają wyłącznie broń krótką. Z oczywistych względów, większość z nich to operatorzy kosmicznej broni ciężkiej, astronomowie, obsługa siłowni atomowej i dwóch czy trzech oficerów... – wywód doradcy prezydenta został bezceremonialnie przerwany przez silny, męski głos

– ...jak zamierza nas pan tam dostarczyć? – Na dźwięk tego zapytania wszystkie głowy zwróciły się na Allana Gavoffa, nonszalancko opartego o ścianę. Lekko kpiący ton potrafił każdego wyprowadzić z równowagi, ale postawny blondyn mało dbał o to. Jak mawiał, nie spotka go nic gorszego niż „plastikowe flaki”. Pogodzony z tym, że większość jego ciała miała

metkę Medical Arts Corporation², dawał każdemu odczuć, że nie ma nic do stracenia. To, że Rupert był zaraz po prezydencie najważniejszą osobistością w Konfederacji nie miało dlań absolutnie znaczenia.

– ... nasz park maszynowy obejmuje tylko balony meteorologiczne, wentylatorowce i kilka transportowców balistycznych. – Dokończył Gavoff z ironicznym uśmieszkiem, niebaczny na piorunujące spojrzenie szefowej centrum, jakie posyłała mu z każdym słowem. Max Rupert niezrażony tonem głosu blondyna odrzekł spokojnie, ważąc każde słowo.

– Na orbitę polecicie bezzałogowym kontenerem transportowym. Udało nam się go pozyskać od Rosjan. Czekamy tylko na pierwszą wymianę sygnałów pomiędzy „Haiyang” i „Aldrinem”, aby je skopiować. Korzystając z tej korespondencji podejdziecie do kolonii, udając transport z chińskiego okrętu. Kontener jest nieuzbrojony, więc jakakolwiek akcja przeciwnika spowoduje śmierć całego oddziału. I tu tkwi haczyk... – twarz Ruperta spoważniała. Przedstawił sprawę jasno i z biciem serca oczekiwał na decyzję zebranych. Gdy ktoś z otoczenia prezydenta miesiąc temu rzucił pomysł śmiałego rajdu, był pierwszym, który go wyśmiał. Później jednak, w miarę, jak kolejne opcje odpadały, samobójczy lot orbitalny stawał się jedyną alternatywą dla atomowej pożogi. Nikt jednak nie mógł nakazać takiej akcji, nawet żołnierzom – ochotnikom. Obserwował z kamienną miną rodzące się ciche rozmowy pomiędzy zebranymi. Część rozważała słowa dowódcy w milczeniu.

– Gdzie trzeba się podpisać? – Prychnął głośno Allan, starając się nadać swemu głosowi lekceważący ton. – Orbitalny lot pasażerski kosztem na śmieci jest właśnie tym, o czym zawsze marzyłem. – Gdzieniegdzie pojawiły się aprobujące uśmie-

chy. Bezczelny Gavoff jak zwykle rozładował gęstniejącą atmosferę.

– Rozumiem, że zgłasza się pan na ochotnika, jako pierwszy?! – Zimno odezwał się Rupert, doskonale panując nad głosem. Za Allanem podążyli następni. Dowódca obserwował ich w milczeniu, choć serce rwało się, by przynajmniej zdawkowo podziękować im za poświęcenie. Owszem, zgłosili się do ciężkiej i niebezpiecznej służby. Przeszli wyczerpujące szkolenie, przygotowujące do walki chyba w każdych warunkach, które mogli napotkać na Marsie. Teraz zgłaszali się do misji będącej tak naprawdę hazardową zagrywką. A niemal połowa z nich zrobiła to natychmiast, bez zastanowienia. Dopiero po dłuższej chwili milczenia westchnął cicho i zaczął mówić. Powoli, spokojnie, bez entuzjazmu, ale i bez pesymizmu, opisując szczegóły konstrukcyjne kolonii na Fobosie.

– Nie będę ukrywał – przerwał na moment szczegółowy opis techniczny bazy FNA „Aldrin”. Czternaście par oczu wpatrywało się w niego na podobieństwo uczniów podstawówki, gdy nauczyciel prezentował pierwsze prawdziwe doświadczenie chemiczne.

– To podróż w jedną stronę. Kontener nie jest w stanie wylądować z powrotem na powierzchni Marsa, nie ma osłon ablacyjnych ani spadochronów. Komputer nawigacyjny jest w tej chwili specjalnie programowany, by móc naśladować ruch prawdziwych pojazdów tego typu. Jeśli zostaniecie wykryci, będziecie bez szans...

– Panie pułkowniku, teraz prosimy o optymistyczne wieści – Allan nie przestawał testować swojego denerwującego stylu bycia na naczelnym dowódcy. Ten spojrzął spod oka i odpowiedział cedząc słowa, jakby tracił panowanie nad sobą.

– Pułkownik to czas przeszły. W tej chwili jestem osobą cywilną...

– Z rządu... – odpowiedział bezczelnie Gavoff a w jego oczach czaiły się ogniki ironii.

– Ech zamknij się już Allan – zirytował się James, słuchający dotąd w absolutnym milczeniu. Rozległ się szum serwo-motorów, gdy sztuczną dłonią przeczesał swe krótko ścięte włosy.

– Rozumiem, że nie mamy wiele czasu? – Zapytany Rupert skinął w milczeniu głową, w zamyśleniu spoglądając na swego adwersarza. Trudno było wyczytać z jego twarzy, co myśli na temat NIRu – „najbardziej irytującego robota”, jak z przekąsem nazwali Allana najbliżsi współpracownicy.

– Ma pan całkowitą rację. Czas już dawno się skończył...

* * *

Kanciaste, betonowe ściany hangaru ciśnieniowego pokrywała cienka warstwa lodu. Mimo wysiłków potężnych dmuchaw, zamontowanych wzdłuż ogromnego pomieszczenia, panował tu przeraźliwy chłód. Słysząc było nieustanny trzask wysokonapięciowych spawarek, oświetlających niezmiernym światłem dwa pojazdy latające, których centralną część kadłuba wypełniały wielołopatowe śmigła, pozwalające swobodnie poruszać się w rzadkiej atmosferze Czerwonej Planety. Wsparte na wydawałoby się lekkim, zbyt filigranowym podwoziu, stały w prawym sektorze. Pośrodku stał standardowy ATV M-525, przy którym uwijało się ośmiu robotników. Każdy odziany był, prócz przepisowego stroju roboczego, w zdobyte własnym sumptem dodatkowe bluzy i czapki. Długi, kanciasty kształt automatycznego kontenera transportowego był modyfikowany w głębokiej tajemnicy niemal trzy miesiące.

Zakrawało to na żart, zwłaszcza, że na Ziemi podobne konstrukcje schodziły z taśmy w ilości trzech sztuk dziennie. W wąskim otworze drzwiowym, wiodącym do wnętrza kolonii pojawiła się barczysta sylwetka Jamesa Renflova. Śmiało przekroczył próg i owiał go dojmujący chłód bijący z wnętrza ogromnego hangaru. Mimo tego, że mieszkał w Oudemanss od dwóch lat, tu był po raz pierwszy. Ogarnął wzrokiem tytanowe wsporniki podtrzymujące łuk stropu, niknący w mroku. Gdzieś wyłaniały się z niego wydłużone sople tworzące się z zamarzającej pary wodnej. Nic dziwnego, że panowała tu wiecznie ujemna temperatura. Przybysz mocniej się otulił bluzą mundurową i uśmiechnął się pod nosem, słysząc narzekania idącego za nim Allana.

– Ależ tu zimno, do diaska – autentycznie szczekał zębami. Rzeczywiście, dziś temperatura wynosiła osiemnaście stopni poniżej zera i nawet Gavoff to odczuwał. Stanęli obok siebie, obserwując w milczeniu wznoszącą się przed nimi, kwadratową rufę pojazdu. Pośrodku widniała dysza chemicznego silnika raketowego. W każdym z ściętych rogów rufy umieszczono proste silniki manewrowe. I to było wszystko. Żadnych iluminatorów, uchwytów czy krat wywietrzników. Ten prymitywizm nie napawał optymizmem i Allan jak zwykle postanowił to wyrazić na głos.

– Wiedziałem, że nasz szanowny Rupert nie mówi wszystkiego – nie dbał o to by mówić cicho, toteż donośny głos blondyna niósł się daleko. – Kontener to chyba za mocne słowo. To naprawdę kubeł na śmieci...

Ni stąd, ni zowąd przed oboma mężczyznami pojawiła się niska, szczupła sylwetka w roboczym kombinezonie, opatulona dodatkowym szalem i czapką z wielkim pomponem. Spod

zwałów tkaniny widoczny były tylko oczy i czarne brwi. Do uszu obu mężczyzn dobiegł stamtąd niezrozumiały bełkot.

– ...że co? – Gavoff obrócił się z uśmiechem do Jamesa i zachichotał – Nie dość, że kubeł na śmieci, to jeszcze załoga złożona z gnomów... – niska postać kilkoma niewprawnymi ruchami ściągnęła w dół szalik.

– Odszczekaj to – za plecami Allana rozbrzmiał gniewny, kobiecy głos. Zaskoczeni mężczyźni jak na komendę zwrócili się w stronę niewielkiej sylwetki. Jej śniada, owalna twarzyczka wykrzywiona była w grymasie wściekłości. James w myślach zauważył, że nieznajoma jest nawet w jego typie a złość dodaje dziewczynie urody. Nim jednak zdołał obmyślić zgrabny początek dyskusji, pyskówkę podtrzymał oczywiście Allan. On nigdy nie rezygnował z takich okazji.

– Gnomy, które potrafią mówić... – warknął złośliwie. Było ogólną tajemnicą, że ostatni wypadek pozbawił Gavoffa całej dolnej części ciała, przez co jego dawna kurtuazja wobec kobiet znikła bez śladu.

– Ty gnojku – w drobnej i słabej wydawałoby się dłoni kobiety pojawił się nagle długi, płaski klucz.

„Na oko numer dwieście” pomyślał James patrząc na narzędzie i z rozbawieniem na twarzy obserwował, jak Gavoff w ostatniej chwili unika ciosu szerszą częścią klucza, zadanego z dużą szybkością i wprawą.

– Wesolek co? – Na widok uśmiechu na ustach Renflowa, agresja dziewczyny zwróciła się w jego stronę. Niczym szpadą, zadała cios kluczem i gdyby nie jego bioniczna ręka, z pewnością połamałaby mu kości. Pewny swej przewagi chciał chwycić ramię klucza, ale kobieta wykorzystując dźwignię, jaką utworzyła z klucza, wykręciła mu rękę do tyłu obracając całe-

go Jamesa gwałtownym ruchem. Nim którykolwiek z nich zdołał zareagować, odskoczyła krok do tyłu.

– Pierwsza lekcja – zjadliwy głos dziewczyny kąsał ich męską dumę. – To nie kubeł na śmieci a pierwszy okręt marynarki kosmicznej Konfederacji „Modliszka”. I radzę nie podskakiwać jego dowódcy, czyli mnie. – Z ponurą satysfakcją spojrzała na Allana masującego sobie nadgarstek, o który zahaczył klucz. – Gnomy zapewne macie w spodniach... – dopiero te słowa starły z jej oblicza złość. Zastąpił ją niewinny wyraz twarzy i James patrząc na tę zdumiewającą metamorfozę stwierdził, że jest wielu facetów, którzy mogą się na to nabrać.

– Kapitan Daphne Larousse. – Przedstawiła się po dłuższej chwili milczenia. Patrzyła na obu skruszonych mężczyzn z góry, co wyglądało dość komicznie, zwłaszcza, że miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. – A wy to zapewne Renflor – wezwany skinął głową, a pani kapitan nie przerywając zwróciła duże, ciemne oczy na blondyna, który o dziwo, stracił rezon. – Gavoff? – Potwierdził potakująco zamykając oczy.

– Chłopcy – powiedziała z nagłym ciepłem w głosie – widocznie was nie uprzedzili. Nie bawimy się tu w wojsko. To jest prawdziwa armia... – gestem drobnej dłoni wskazała, aby szli za nią. Obaj grzecznie powędrowali w stronę kontenera. Dopiero z bliska mogli precyzyjnie określić wielkość pojazdu. Szli wzdłuż gładkiej burty wznoszącej się na ponad trzy metry w górę. Minęli dwóch spawaczy, zaciekle walczących z szeroką szczeliną w poszyciu. James non stop zerkał na kształty pani kapitan, widoczne pomimo workowatego stroju.

– Co się tak gapisz – syknął Allan bacząc by nie usłyszała ich idąca przodem Larousse. – To zwykły tyłek. A ślepisz się na niego jak na diamenty.

– O nie – z namaszczeniem mruknął James nie odwracając wzroku od łagodnie kołyszących się bioder pani kapitan. – To prześliczna dupcia. Sma...ko..wi...ta – dopowiedział, akcentując każdą sylabę z osobna i zamilkł, bowiem stanęli na końcu piętnastometrowej konstrukcji, przy węźle cumowniczym. Niewielki, ciśnieniowy włącz otaczało osiem ciśnieniowych muf, które w normalnych warunkach służyły do przetaczania dowolnego płynnego ładunku dostarczanego przez kontener. Te tutaj były jedynie wiarygodnie odwzorowaną dekoracją.

– No to hop do dziury – Larousse zachęciła obu zapraszającym gestem wskazując na drabinę przystawioną do węzła. – Z tym powinniście sobie poradzić... – James kilkoma chwytami zgrabnie wywindował się na górę. Allan stanął przy drabinie i spojrzał kosym okiem na panią kapitan.

– Ja już nie potrzebuję skakać do dziury! – Mruknął ponuro i z szumem serwomotorów pognął w górę, by nie otrzymać zasłużonego kopniaka w tylną część ciała. Jako ostatnia, do włączu wsunęła się dziewczyna, nienaturalnie szybko przemierzając te trzy metry do góry, niczym kocica. Stała zaraz w wąskim tunelu, uderzywszy w szerokie plecy Jamesa.

– Przepiękne widoki, wiem to, ale jazda do środka – pchnęła Renflova, który z wyraźnym oporem wsunął się do wąskiej, klaustrofobicznej kieszki w kolorze wypolerowanego aluminium. Zdumieni mężczyźni usiedli z trudem pośrodku niewielkiego pomieszczenia. Spojrzeli na siebie a potem, jak na komendę, na Larousse.

– Czy chcesz powiedzieć, że mamy podróżować w tej... – Allan przez chwilę szukał w myślach mniej obraźliwych stwierdzeń, co przychodziło mu z ogromnym trudem, bo od dawna się nie hamował.

– Rurze? – James słysząc to wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał od siebie.

– Mnie to przypomina silos na zboże... – widząc kątem oka ruch ręki pani kapitan, dodał szybko – w miniaturze, rzecz jasna.

– Ech chłopcy – westchnęła Larousse, zwinnie prześlizgując się pomiędzy oboma mężczyznami. Jednym ruchem wsunęła się do zwężającego się kanału wiodącego dalej w głąb pojazdu. Renflov wzruszył ramionami i podążył za nią. Pozostały w niewielkim pomieszczeniu blondyn westchnął z rozpaczą i wcisnął się z wysiłkiem w wąski otwór przejścia. Dopiero po kilkunastu ciężkich sekundach przedostał się do obszerniejszej, głównej komory. Jego oczom ukazało się pomieszczenie w formie cylindra. Do jego boków przymocowano kilkanaście aluminiowych, perforowanych, dwumetrowych szaf, wypełnionych sprzętem. Gavoff z westchnieniem ulgi zsunął się po pochyłości ściany. Żaden z obecnych w czterometrowej długości cylindrze członków załogi nie zaszczycił nowo przybyłych spojrzeniem. Dwóch niskich, przysadzistych mężczyzn i wysoka, chuda jak szkielet kobieta uwijali się w pocie czoła, umieszczając trzy opancerzone skafandry ciśnieniowe na specjalnych uchwytach.

– Za szeroko to tu nie jest – mruknął blondyn stając niepewnie na nogach, w nienaturalny sposób wykrzywiając stopy, by utrzymać się na łuku podłogi. Komputer zawiadujący motoryką Gavoffa przez sekundę analizował kształt podłogi i natychmiast dostosował działanie serwowatorów do nowego otoczenia.

– Nie będziemy tu mieszkać latami – rzuciła przez ramię pani kapitan i dodała stanowczym tonem – Nie przyszłście tu zwiedzać panowie! Do roboty! – Przez następne szesnaście

godzin zarówno James jak i Allan przeszli nie mniejszą szkołę życia niż podczas wyczerpującego szkolenia w niewielkich koloniach zbudowanych wzdłuż Valles Marineris. Nawet pozostała trójka członków załogi, Susana , Leon i Heller przyzwyczajona do tego typu pracy, umęczyła się porządnie, ale ich solidarny, ofiarny wysiłek opłacił się sownicie. Gdy nad marsjański płaskowyż Sinai Planum wzniosła się niewielka tarcza słoneczna, byli gotowi do tankowania kontenera. Godzinę później „Haiyang”, pierwszy w historii badań kosmosu niszczyciel Chińskiej Marynarki Ludowej wszedł na orbitę Marsa...

ODPOWIEDŹ ZIEMI

Zza czerwonej tarczy Marsa powoli wyłonił się ciemny punkt, ledwie widoczny na tle nieba. Rósł w oczach, powoli acz konsekwentnie. Mimo jasnego blasku gwiazd, na matowej powierzchni pojazdu nie pojawił się ani jeden refleks świetlny. Można już było rozróżnić szczegóły konstrukcji. Dwa długie na sto metrów cylindry połączone gęstą kratownicą. Na końcu widniały trzy dysze silników atomowych, stygnących powoli po korekcji orbity. O przynależności pojazdu świadczyły jedynie dwie niewielkie chińskie gwiazdy wymalowane na burtach obu cylindrów. Ich chropowatą powierzchnię wyżłobiło kilkanaście mikrometeorytów, zostawiając głębokie bruzdy. Także w panczerzu niewielkiej kopuły umieszczonej pośrodku całej konstrukcji widniały ślady uderzeń. Wyloty dysz silników korekcyjnych, umieszczonych przy końcach cylindrów wyrzuciły kilka obłoczków hydrazyny⁶ i pojazd powoli, ociężale zaczął zmieniać swą orientację w przestrzeni. Spod kratownicy wy-

sunął się niewielki, prostokątny kształt automatycznego kontenera transportowego. Bezgłośnie zapłonęła dysza napędowa automatu, pchając go w stronę niewidocznego jeszcze, odległego Fobosa. Dopiero teraz część pancernej osłony kopuły obserwacyjnej odsunęła się ukazując trzy pancerne tafle szyb ciśnieniowych i zaciemnione wewnątrz sterowni niszczyciela. Panowała w niej całkowita cisza. W półokrągłym, niskim pomieszczeniu stały cztery ciężkie, głębokie fotele wyposażone w grube pasy zabezpieczające, otoczone dziesiątkami urządzeń i konsol sterowniczych. Siedzący na nich operatorzy odziani byli w przepisowy strój chińskiej marynarki wojennej. W skupieniu wpatrywali się w ekrany sytuacji taktycznej rozciągające się tuż nad wąskim pasem okien ciśnieniowych. Od niespełna doby, gdy „Haiyang” osiągnął stabilną orbitę marsjańską, załoga oczekiwała ataku ze strony zbuntowanych kolonii. Doskonale znali parametry urządzeń obserwacyjnych zainstalowanych w zespole Arsia Mons, zagadką natomiast były środki, których koloniści zamierzali użyć przeciwko wysłannikowi prawowitej władzy.

– Kapitanie! – Z stanowiska obserwacji głębokiego kosmosu odezwał się naraz wysoki, kobiecy głos. Na środku sterowni, spowitej teraz w całkowitych ciemnościach dał się wy czuć ruch. Za plecami operatorów pojawiła się niska, przysadzista sylwetka czterdziestoletniego mężczyzny. Epolety wskazywały na kapitańską rangę.

– Mówcie – stonowany szept niósł w sobie władczy charakter i wymuszał posłuch. Operatorka nie zwlekając zameldowała, nie mogąc się pozbyć nerwowości ze swego dziecinnie brzmiącego głosu.

– Na granicy zasięgu radaru głębokiej przestrzeni mam echo w sektorze cztery cztery sześć Zmiana prędkości o dzie-

sięć metrów na sekundę in minus w pięciominutowych interwałach czasowych.

– Przyjąłem – Kapitan z spojrzeń na trójwymiarowe odwzorowanie badanej przestrzeni. Wyglądało na to, że w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów pojawił się niespodziewany gość. Być może pocisk, przygotowany przez buntowników.

– Są sygnały transponderów? – Brzmiało to jak nieśmiałe zapytanie, ale nie sposób było nie dostrzec szybkości, z jaką drugi operator zareagował, włączając odpowiednie urządzenia odpytujące „swój-obcy”. Po dłuższej chwili ciszy przerywanej cichym szumem wentylatorów odpowiedział.

– Brak reakcji. Nie odpowiadają również na zapytanie przekazane nam przez Amerykanów – dowódca skinął powoli głową, w zamyśleniu. Kosmos przypominał mu zawsze podwodną marynarkę wojenną z której się wywodził. Wiele godzin podchodzenia do przeciwnika i kilka sekund akcji. Każda pomyłka mogła być tą ostatnią. Jediną różnicą była czająca się za opancerzonymi burtami lodowata próżnia międzyplanetarna.

– Mam odwzorowanie kształtu – na ekranie pojawiła się nieregularna sylwetka wahadłowca.

– Typ „Kirow” – z pewnością w głosie stwierdził dowódca. Zwykły pojazd transportowy, jeden z najbardziej rozpowszechnionych, zwłaszcza wśród prywatnych przedsiębiorców na Ziemi. W zaistniałych okolicznościach mógł to być też zaimprovizowany brander⁸. Kapitan wpatrując się w komputerowy obraz odległego pojazdu musnął palcem nos i mruknął.

– Wkraczają w obszar Chińskiej Republiki Ludowej. – Zanurzył się w mroku ogarniającym środek i tył mostka. Po

chwili nikły blask ekranu zabłysł rozjaśniając ciemności, oświetlając skupioną twarz kapitana. Szybkimi ruchami klawiatury wywołał potrzebne informacje.

- Uruchomić działo nr jeden – gdzieś w głębi pojazdu rozbrzmiał cichy jęk turbin parowych głównego reaktora. Wskaźniki mocy szybko rosły w górę osiągając maksimum po niespełna pięciu minutach. Energia została natychmiast skierowana do szeregu kondensatorów ustawionych wzdłuż rdzenia wygiętego na kształt wąskiej litery „U”. Całość mierząca niemal dwadzieścia metrów ustawiona na obrotowej podstawie, przesunęła się w stronę niewidocznego, odległego zagrożenia.

- Gotowi do strzału – zameldował operator sekcji ciężkiej broni.

- Dwa pociski obszarowe – po raz pierwszy polecenie kapitana zabrzmiało jak rozkaz. – Ustalić namiar celu...

Na ekranie dowódcy pojawiły się dwa koncentryczne czerwone koła a w ich centrum, pulsujący punkt oznaczający nadlatujący wahadłowiec. Nim zarządzający uzbrojeniem człowiek zdążył otworzyć usta, sterownię przeszył ostry kapitański głos, brzmiący jak świst szabli.

- Ognia!

W komorze startowej magnetycznego działa szynowego pojawił się metrowej długości pocisk w kształcie idealnego walca, o karbowanej, błyszczącej powierzchni. Nagłe uwolnienie energii z mikrosekundowymi wyładowaniami kolejnych kondensatorów rozpoczęło generowanie gigantycznego pola elektromagnetycznego, przyspieszającego pocisk do dziesięciu kilometrów na sekundę. Po dwóch minutach wewnątrz pędzącego cylindra mignęły bezgłośnie dwie mikroeksplozje, dzieląc beczkowaty kształt na osiemnaście wolframowych drzazg.

Oddalały się od siebie odepchnięte impetem niewielkiego wybuchu.

– Separacja zakończona – zabrzmiał sucho głos operatora ciężkiego uzbrojenia. Dowódcy, siedzącego w milczeniu na fotelu kapitańskim, przeszło przez myśl, że reagują zbyt zdecydowanie. Po chwili przypomniał sobie rozmowę z admirałem Chengiem, który dał mu wolną rękę, pomijając użycie broni jądrowej. „Macie ich zmusić do uległości” w głowie nieustannie i natrętnie brzęczał admiralski rozkaz. I właśnie to robił!. A jeśli kilku odszczepieńców chciało sprawdzić ich determinację i oddanie partii, to da im powód do wspomnień!. Zacisnął pięści i zerknął na ekran taktyczny. Pierwsza salwa dotarła do nieznanego pojazdu. Ku jego niezadowoleniu, komputer zobrazował przejście strefy rażenia za rufą wahadłowca.

– Prawdopodobieństwo trafienia osiem procent – drżący głos operatora wskazywał, że i on dostrzegł już chybienie. Wtedy na głównym ekranie radaru 3D pojawiła się opalizująca, słabo widoczna chmura otaczająca marsjański pojazd.

– Chyba jednak nie – kapitan wypowiedział te słowa z satysfakcją, nie odwracając wzroku od ekranu.

– Potwierdzam – wysoki głos operatorki wytrącił kapitan z skupienia. Na moment pomyślał o smukłej kibici i wciętej talii kobiety siedzącej za pulpitem. Zaraz potrząsnął głową, chcąc wyrzucić te myśli, niegodne najwyższego przedstawiciela narodu i partii tak daleko od Ziemi.

– Cel zmienia koordynaty lotu. Ustała praca głównego silnika...– podawała operatorka, ale przerwał jej drugi mężczyzna.

– Drugi pocisk podchodzi...– wpatrywali się w skupieniu, w obszar rażenia pocisku, dokładnie obejmujący kształt wahadłowca. Daleko, niemal osiem tysięcy kilometrów dalej roz-

grywała się tragedia trzech osób, gdy kilka wolframowych drzazg przeszło cienkie ściany transportowca, niszcząc zbiorniki paliwa i zapasy tlenu. Cel zabłysł bezgłośnie eksplozją, widoczną nawet przez załogę „Haiyang”, gdy chmura paliwa raketowego, obłoki czystego tlenu z rozbitych butli objęły jarzące się resztki radioaktywnego rdzenia z rozbitego reaktora wahadłowca. Rozproszone szczątki pojazdu i osiem ton drobin platyny z rozbitej ładowni pomknęło dalej, wprost ku rzadkiej atmosferze planety.

Dopiero po dłuższej chwili, gdy odległy błysk zgasł, w sterowni rozległo się kilka przyciszonych okrzyków radości. Nawet powściągliwy dowódca rzucił głośno, włączając interkom, tak by słyszała go pozostała część załogi.

– Uwaga załoga! Gratuluję sprawnie przeprowadzonego manewru przechwycenia i zniszczenia wrogiego pojazdu orbitalnego. Niech żyje Partia!...

* * *

Niewielkie pomieszczenie obsługi technicznej hangaru wypełniała spocona dziesięcioosobowa grupa mężczyzn i kobiet. Powietrze było duszne i stęchłe, jak w męskiej przebieżalnej drużynie piłkarskiej. Część jeszcze łapała oddech otwartymi ustami. Wszyscy, w chwilę po wejściu do pomieszczenia poczęli ściągać wierzchnią, grubą odzież. Ci z przodu próbowali się cofnąć, ale nikt z tylnich szeregów nie miał ochoty stanąć przed rozsierdzoną, drobną panią kapitan. Daphne Larousse z zaciętą miną obrzucała zebraną grupę muskularnych mężczyzn i kobiet inwektywami, nie powtarzając się ani razu. Wreszcie zaczerpnęła powietrza i rzekła spokojniejszym już głosem.

– Wyjaśniliśmy sobie wasze największe braki – nacisnęła jeden z przycisków widniejący na biurku stojącym pod ścianą. Ta zamieniła się w ekran, wyświetlający zazwyczaj kolejności załadunków. Teraz widniał tu plan kolonii „Aldrin” i osiem czerwonych punktów rozrzuconych nieregularnie wzdłuż korytarzy.

– Trzeci atak z rzędu i dwójka ocalałych... – kapitan zrobiła dramatyczną przerwę i warknęła – do cholery, mój oddział to nie pieprzeni kamikaze. Widzę, co wam chodzi po waszych pustych łbach. Żaden z was nie zostanie bohaterem. O nieee. – Specjalnie przedłużyła ostatnią sylabę, przeciągle spoglądając na oddziałowego złoźnika. Allan nie wytrzymał jej wzroku i spojrzął na swe buty.

– Ja nic nie zrobiłem – mruknął, nie bardzo wiadomo do kogo. Larousse usłyszała jednak jego szept i wpadła na niego jak bomba.

– No właśnie o to chodzi Gavoff, że nic nie zrobiłeś. Dałeś się załatwić trzy razy z rzędu zaraz po opuszczeniu tej choleralnej beczki. – Wiedziała, że to, co powie nie będzie do końca w porządku, ale nie była w stanie się powstrzymać.

– Mam wrażenie, że razem z bebechami wymienili ci mózg. Jak można się tak wystawiać na strzał... – Nikt nie chciał wziąć w obronę Allana. Sami mieli wiele na sumieniu. Po raz trzeci, w symulowanej walce polegli niemal wszyscy, poza Daphne. Złośliwi twierdzili, że to wyłącznie dzięki elastycznemu szkieletowi wspomaganym przedramion i smukłych nóg pani kapitan. Dzięki nim zyskiwała niesamowitą zwinność i szybkość ruchów. Płacąc za to cenę niemal równie wielką, jak Gavoff.

– Daję wam cztery godziny przerwy – warknęła wreszcie, stopniowo się uspokajając – mam nadzieję, że w tych pustych

łbach coś wam zaświta. Jesteście pozał się Boże jedyną nadzieją Marsa. Zrozumcie to do cholery!... – Na końcu pomieszczenia wszczął się ruch, gdy szcęknięły drzwi wejściowe i stanęła w nich wysoka, szczupła sylwetka Maxa Ruperta. Bez wątpienia usłyszał ostatnie słowa pani kapitan.

– Wstrzymaj się Daphne na moment – przez rosnący szum rozmów Larousse usłyszała jego prośbę wypowiedzianą drżącym głosem

– Oddział stać – oczy wszystkich zwróciły się na niską postać pani oficer. Ona sama zdziwiona bladością twarzy naczelnego dowódcy sił zbrojnych Konfederacji, odsunęła się na bok, robiąc miejsce przepychającemu się mężczyźnie.

– Dziękuję – mruknął łamiącym się głosem i stanął przed zdziwionymi żołnierzami. Jego łysina świeciła jak wypolerowane aluminium. Westchnął głęboko wyjaśniając.

– Musimy przyspieszyć realizację planu... – zaczął, ale Larousse delikatnie i taktownie weszła mu w słowo.

– To niestety niemożliwe, szefie, niech pan zobaczy wyniki ostatniej symulacji... – Rupert podniósł rękę do góry a coś w twarzy Maxa kazało pani kapitan zamilknąć.

– Przed dwudziestoma minutami Chińczycy zestrzelili „Hydrę”. Nikt nie ocalał...-cichy szum rozmów natychmiast ucichł. Teraz mogli już trafnie zinterpretować drzenie w głosie Ruperta. Drzenie bezsilnej wściekłości.

– W każdej chwili mogą zaatakować głowicami atomowymi. Nie wiem, czy już nie lecą... – zawiesił na moment głos, ale natychmiast odezwała się Larousse.

– Oddział, przygotować ekwipunek bojowy, broń i amunicję. Za godzinę meldujecie się przy kontenerze! – Spokojny, władczy ton drobnej kobiety przywrócił spokój i wygasił ferment nim się w ogóle zaczął. Zaczęli opuszczać pomieszczenie.

Bez protestów, dyskusji i uszczypliwych uwag, nawet ze strony Allana. Patrzyła za nimi, dopóki ostatni z żołnierzy nie opuścił pomieszczenia. Dopiero wtedy odwróciła się w stronę znacznie wyższego Ruperta i spojrzała w jego wyblakłe oczy, dostrzegając w nich cierpienie.

– Nawet nie wiesz jak mi przykro – szepnęła współczująco. Chyba ona jedyna wiedziała, że dowódcą załogi wahadłowca była jedyna córka Ruperta, Ann.

– Dziękuję – odpowiedział szorstko i podał jej kartę pamięci.

– To sygnały zarejestrowane przy cumowaniu pierwszego kontenera. Kości zostały rzucone. „Aldrin” też ma już broń atomową. – Obrócił głowę w stronę ekranu ściennego, wciąż wyświetlającego plan kolonii na Fobosie. Głos Ruperta uspokoił się, choć wciąż dało się dosłyszeć nuty gniewu.

– Jesteście naszą ostatnią szansą. Jeżeli nie zdołacie opanować „Aldrina” i zestrzelić ... – zmełł w ustach przekleństwo, na myśl o zabójcach ukochanej córki – to zginiemy. Oni się nie zawahają. Wiesz o tym...

– Damy z siebie wszystko! – Rzuciła pewnym siebie głosem Daphne salutując służbiście.

Patrzył za nią, gdy z werwą wychodziła za swym oddziałem, pozostawiając naczelnego dowódcę sił zbrojnych Konfederacji Kolonii Marsjańskich sam na sam z niewesołymi myślami.

* * *

Niecałe pięćset metrów od szerokich wrót ciśnieniowych hangaru kolonii Oudemans stała szeroka, przysadzista rakieta, zwieńczona pojazdem ATV. Improwizowana kratownica podtrzymująca cały pojazd, wydawała się zbyt filigranowa dla

szerokiej podstawy ośmiu metanowych silników raketowych pierwszego stopnia. Mimo sporych powiewów wiatru cała konstrukcja nawet nie drgnęła. Na wschodzie, daleko ponad pięciokilometrowej wysokości wieńcem krateru kłębiły się pyłowe chmury, stopniowo przesłaniając horyzont. Do stanowiska startowego wiodły szerokie przewody ciśnieniowe. Mgiełka unosząca się nad nimi wskazywała, że już rozpoczęto tankowanie metanu i ciekłego tlenu. Jego temperatura nawet w tak rzadkiej atmosferze jak marsjańska, wytrącała cząsteczki pary wodnej i dwutlenku węgla osiadających w postaci białego szronu. W stronę pojazdu toczył się powoli gaśnicowy wszędołaz, wciąż najpewniejszy środek transportu na marsjańskich pustkowiach.

– Jeszcze z dwa dni i będzie można założyć narty – zauważył Allan siedząc przy wąskim iluminatorze przedziału pasażerskiego gaśnicowego pojazdu, mając na myśli oszronione przewody wysokiego ciśnienia.

Daphne nic nie odpowiedziała. Stała tyłem do kierunku jazdy, obejmując wzrokiem cały zespół. Pojazd zachybotał się na nierównościach gruntu, ale pani kapitan pewnie trzymając się za uchwyt przy suficie, nie zwróciła na to uwagi. Powiodła oczyma po odzianych w opancerzone skafandry żołnierzach. To była istna galeria postaci. Allan ze swym głupkowskim uśmiechem, James – spokojny, wyciszony. Dwie kobiety w oddziale, znacznie wyższe od niej, Lana i Malia, plotkowały między sobą niczym dwie blondynki ubrane na różowo. Zaprzęcały temu potężne pancerze wzmocnione spiekami ceramicznymi i tytanowymi wkładami. Pozostali, widoczni jedynie częściowo zza pleców kolegów i koleżanek, również zachowywali spokój. Mimo to, czuła, że przed startem powinna

coś powiedzieć, wesprzeć zespół. Westchnęła i zaczęła, patrząc spod przymrużonych, czarnych oczu na swoich ludzi.

– Nasze ćwiczenia nie wypadły może rewelacyjnie – wykazali niejakie zainteresowanie, kierując obojętne twarze w stronę mówiącej. Wpatrzone w nią oczy wyrażały nadzieję i aprobatę.

– Wiem, że dacie z siebie wszystko – ją samą zaskoczyła siła własnego głosu – My jesteśmy jedyną tarczą Marsa. Jeśli nam się nie uda, pozostali zginą. Wiecie co się stało z załogą wahadłowca. Nikt z nimi nie negocjował. – Jej ładną, owalną twarz wykrzywił grymas gniewu.

– My też nie będziemy negocjować! – Odpowiedział jej słaby okrzyk

– Biada zwyciężonym! Chwała zwycięzcom! – Niespodziewanie dla kapitan, odezwał się spokojny dotąd James. Spojrzała najpierw na niego, potem przez wąskie okna pojazdu na wznoszącą się wprost w niebo raketę zwieńczoną pojazdem ATV.

– Chwała zwycięzcom! – Odpowiedziała unosząc zaciśniętą, prawą pięść do góry. Odpowiedziało jej dziesięć prawic w tym samym geście. W tym samym momencie wszedłaz zatrzymał się. Trzasnęły osłony hełmów. Kapitan zamknęła swoją i zerknęła na dziesięć miniaturowych diod kolejno zapalających się słabym światłem na niebiesko, oznaczając szczelność.

– Wszyscy gotowi? – Upewniła się jeszcze zapytaniem, chociaż diody podawały jej informacje z każdego skafandra podwładnego. Szczęknięty drzwi z sykiem wypuszczając nadmiar tlenu w rzadką atmosferę Marsa. Przez powstał w tyle pojazdu otwór, do środka natychmiast wtargnęły tumany pyłu niesione potężniejącym wiatrem. Karnie opuścili pojazd i w dwuszeregu, niemal jak rekruci, truchtem pobiegli w stronę

stanowiska startowego. W ekspresowym tempie dotarli do windy. Daphne Larousse obróciła się jeszcze, by spojrzeć na odległą galerię widokową. Dostrzegła sylwetkę łysego, wysokiego mężczyzny z prawą dłonią uniesioną w górę. Obok kilkanaście innych twarzy. Przez chwilę wydało się jej, że wszystkie marzenia, nadzieje tych ludzi skupiły się na niej. Potrząsnęła bezradnie głową, czując przytłaczający ciężar odpowiedzialności. I wtedy przypomniały jej się słowa Allana Gavoffa, gdy beztrąsko zapytał „Gdzie trzeba się podpisać”. Człowiek, który stracił ręce, nogi i miednicę, nie wahał się ani chwili. Z energią chwyciła za uchwyty przy drzwiach windy i jednym rzutem ciała znalazła się w środku. Winda rozpoczęła swój marsz w górę, ku automatycznemu kontenerowi transportowemu...

LOT

Blask odległego słońca prześlizgnął się po starannie zmatowionej, czarnej powierzchni automatycznego kontenera transportowego. Mknął po hiperbolicznej orbicie, powoli oddalając się od rzadkiej, marsjańskiej atmosfery. Znacznie niżej, zabłyśnięcie płomienia, gdy w drugim stopniu odrzuconym chwilę wcześniej spłonęła resztką paliwa metanowego. Wypalony walec lekkiego metalu, tracąc pęd, począł zakreślać łuk, ściągany przez grawitację planety. Wokół krawędzi, poszarpanych ładunkami separującymi pojawiły się pierwsze smugi rozrzedzonego dwutlenku węgla marsjańskiej atmosfery. Ten opór zmniejszył dodatkowo prędkość odrzuconego silnika powodując coraz szybsze opadanie. W polu widzenia pojawiła się nagle chmura ostrych wolframowych odłamków. Tworzyły

owalną płaską chmurę, która uderzyła w wypalony człon rakiety. Trafienia były na tyle silne, by wręcz topić podczas uderzenia lekki metal. Prysznic rozpalonych do białości fragmentów rozpadającego się poszycia raketowego silnika zaczęły spalać się w coraz gęstszej atmosferze Marsa. Wystarczył kwadrans, by z drugiego stopnia startowego nie pozostał nawet ślad. Dopiero teraz można było dostrzec ledwie widoczny jako punkt kadłub „Haiyang”, przemieszczający się szybko po orbicie biegunowej, będący sprawcą spektakularnej zagłady. Niezauważony przez załogę chińskiego niszczyciela kontener obrał kurs na drugi księżyc Marsa, Deimos. Ten właśnie nieśmiało wyłonił się zza czerwonej tarczy planety, powoli wędrując po niebie. Niemal niewidoczny kadłub kontenera pchany siłą rozpędu, wznosił się coraz wyżej. Bez świateł, sygnałów radarowych i radiowych. Oddalał się od Marsa coraz dalej. Zewnętrzna powłoka osiągnęła niemal temperaturę zera absolutnego i od tej chwili ATV był nie do wykrycia nawet poprzez systemy detekcyjne podczerwieni. W przedniej części pojazdu na moment odsłonił się niewielki wizjer ze zbrojonego szkła. Chwilę później jedno precyzyjnie wymierzone pchnięcie dyszą prawego silnika korekcyjnego zmieniło subtelnie tor lotu, umieszczając kontener na precyzyjnej orbicie zbliżeniowej do powiększającego się powoli Deimosa. Wewnątrz pojazdu panowała całkowita cisza i półmrok. Larousse siedząc przy peryskopie, przekazującym widok z dziobowego wizjera, mruknęła, nie odrywając oczu od powiększającego się obrazu mniejszego z księżyców Marsa.

– Przynajmniej raz te łajzy sprawiły się na medal – miała na myśli sześciu inżynierów z dawnej chińskiej kolonii Xiao Ping, którzy starannie wyliczyli czas startu i całą orbitę w taki sposób, by zapewnić maksymalne bezpieczeństwo dziesiątce

straceńców. Traktowani byli przez większość żołnierzy z sarkazmem i ironią. Daphne zamyśliła się na moment i uśmiechnęła pod nosem. Ci jajogłowi w pełni zasługiwali na miano geniuszy. Doskonale zaplanowana trajektoria wymagała zaledwie jednej drobnej korekty, która zaprowadziła ich w bezpośrednią bliskość niewielkiego globu Deimosa. Milcząca załoga wyczuła lekkie drżenie, gdy poszycie pojazdu zetknęło się z regolitem zalegającym powierzchnię nieforemnego księżyca. Kontener zatrzymał się, rzucając słaby cień na pofałdowane miejsce lądowania.

– Można chyba przyjąć – w mroku rozbrzmiał nieśmiało Gavoff, – że Orzeł wylądował... – Zawtórowały mu ciche śmiechy. Jak raz, pani kapitan nie potraktowała Allana zgryźliwie, uśmiechając się pod nosem, bacząc, by nikt tego nie zauważył. Przesunęła dźwignię, łączącą się mechanicznym cięgiem z klapą wizjera. Widok w peryskopie znikł, gdy ciężka klapa opadła, zasłaniając całkowicie niewielki otwór z pancерnej szyby. Dopiero teraz oderwała się od urządzenia.

– Włączyć oświetlenie – rzuciła sucho, by nie dać po sobie poznać nawet odrobiny wesołości. Jak echo rozjaśniły się dwa szerokie panele świetlne, zalewając obłe wnętrze słabym, błękitnym światłem. Z mroku wyłoniło się dziesięć postaci odzianych w ciężkie skafandry bojowe.

– Można rozszczelnić skafandry – przezroczyście osłony hełmów uniosły się w górę. Silne napięcie nerwowe, wręcz wyczuwalne podczas startu i w trakcie lotu, teraz rozplynęło się jak poranna marsjańska mgła. Mimo to przez długi czas panowała całkowita cisza. Nie spoglądali jeden na drugiego, starali się zogniskować wzrok na obłych ścianach kabiny w kolorze wypolerowanego aluminium. Wiedzieli, czego się spodziewać, ale nagłe przesunięcie startu i przejście z szkolenia w

środek akcji wstrząsnęło nimi wszystkimi. Daphne ukradkiem przesuwiała wzrok z jednej twarzy na drugą, odczytując z nich swe obawy, gdy napotkała wzrok Renflova. Spokojna twarz mężczyzny napawała optymizmem. Miał minę zadowolonego z życia człowieka, siedzącego nad największym basenem w Olimpic. Mało tego. Jedno z szarych oczu przez ułamek sekundy mrugnęło filuternie. Ten drobny gest przywrócił jej równowagę.

– Wachty burtami. – Tylko przez chwilę jej głos drżał. – Zarządzam sprawdzenie broni ręcznej, przetrenowanie symulacji „Aldrina”. Malia włącz nasłuch – widząc ich szybką reakcję, poczuła zadowolenie. Potrzebowali tego. Konkretnych rozkazów, obowiązków do wykonania. Co dziwne, nawet skory do narzekania Gavoff wydawał się być zachwycony. Na rozkładanym stole pojawiło się dziesięć subkarabinków Helix10, mających być głównym atutem w starciu z załogą stacji. Wprawne ręce Allana, pełniącego obowiązki technika uzbrojenia i pomagającej mu Lany szybko rozłożyły każdy z egzemplarzy. Panująca w pojeździe niemal całkowita nieważkość nie ułatwiała zadania. Gavoff zablokował nogami możliwość ruchu, Lana pomogła sobie pętlami na stopy, którymi upstrzone były surowe ściany kabiny. Pozostali, korzystając z odrobiny czasu, studiowali na kilku tabletach układ wewnętrzny stacji. Jedyne Daphne unosząc się pod rufową ścianą, obserwowała krzątającą się załogę a do jej serca powoli zaczął zakradać się strach. Nagle zdała sobie sprawę, że odpowiada za ich życie. Oto siedzieli wewnątrz stalowej puszki, nie wiedząc, czy za moment nie uderzy w nich seria wolframowych pocisków, kładąc kres ich życiu w męczarniach.... Ponure myśli zakłóciło lekkie trącenie w ramię pani kapitan. Drgnęła zaskoczona i

odwróciła się ku intruzowi, przybierając swój zwykły, gniewny wyraz twarzy.

– Za dużo myśli pani kapitan – spokoj w głosie Jamesa stopił złość. W jego oczach napotkała łagodne wsparcie i chęć pomocy. Nagle przez chwilę poczuła się małą dziewczynką. Widząc, że częściowo zasłaniają ich szafki ze sprzętem bezwzględnie popłynęła w jego stronę, wprost w szerokie ramiona Renflova.

– Dasz sobie radę – szepnął jej wprost w krótkie włosy zasłaniające ucho. Serwomotory ręki zaszumiały cicho, gdy objął drobną kobietę. Gavoff kątem oka dostrzegł ich, ale wbrew swej złośliwej naturze, nie odezwał się ani słowem. Zamiast tego wydarł się na cały głos w stronę czwórki mężczyzn, sprawdzających skafandry bojowe.

– Heller, Jonas, Horsh, i ty czwarty, co to za spanie – wywołani odwrócili spłoszone spojrzenia ku krzykaczowi. Ten przybrał złośliwy wyraz twarzy i warknął.

– Mamy tu prawdziwe szambo – wskazywał dłonią na prowadnice zamka obu karabinków. – Zdaje się, że czas wziąć nitki dentystyczne w dłonie i zacząć szorowanie. Ja syfu nie będę sprzątał, jestem specjalistą, nie sprzątaczem... – Mówiąc to rzucił ku bliższemu blondynowi z napisem „Heller” widniejącym na kieszeni skafandra korpus broni. Nierzeczywistym, prostym torem pomknęła w jego stronę, silnie uderzając w Hellera w klatkę piersiową. Ten skrzywił się, odruchowo łapiąc improwizowany pocisk a w jego oczach pojawiły się ogniki gniewu.

– Ty... – Nawet nie zaczął się rozkręcać, gdy Gavoff uniósł w górę palec i wycedził jadowicie. – Ty możesz mówić do swojego wacka, jak się z nim witasz w kłocie. Do mnie możesz co najwyżej mówić panie kapralu. – Wskazał palcem na wście-

kłego blondyna – A teraz zapraszam do stołu i szuruburu. I to raz dwa. Nie mam chęci oberwać tylko dlatego, że jakiemuś frajerowi nie chciało się porządnie wyczyścić prowadnic i zamiast stu pocisków, spluwa wystrzeli raz. – Obaj posłusznie podsunęli się do stołu, chociaż Heller chciał z pewnością coś dodać. Tylko strach wobec bezpośredniej konfrontacji z Allannem powstrzymał go przed pyskówką. Daphne, wciąż wtulona w milczącego Jamesa z wdzięcznością pomyślała o oddziaływym złośniku. Stała na wysokości zadania właśnie wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowała, odwracając uwagę załogi w chwili jej słabości. Czuła uspokajające bicie serca Renflova. Przed oczami, jak żywa, stała jej rozmowa ze starszą siostrą. Gdy perorowała, że potrzeba czasu, aby kogoś poznać, niezależnie od okoliczności. Teraz miała wrażenie, że zna go od dawna. Podniosła głowę w górę, spoglądając wprost w rozszerzone źrenice Jamesa. Gdy poczuła muśnięcie jego ust, na moment zapomniała gdzie jest. Nie istniała zabójcza próżnia za centymetrowej grubości burtą, nie było nikogo wokół, tylko oni, we dwoje. Zamknęła oczy, sycąc się chwilą beztroski. Gdy uchyliła powieki, dostrzegła rozogniony wzrok mężczyzny.

– Dziękuję – szepnęła cicho wtulając się jeszcze na moment w ramię. Usłyszała dźwięk serwowatorów i poczuła lekkie głośnięcie po głowie. Ten gest ostatecznie rozwiązał jej obawy.

– Mam nadzieję, pani kapitan, zaprosić panią na naprawdę znakomitą kawę w Olympic, jak to wszystko się skończy – mruknął po cichu, wprost do ucha. Oboje zachichotali cicho, czując, że to drugie myślało dokładnie o tym samym.

* * *

Powierzchnię Deimosa słabo oświetlało światło odbite od powierzchni Marsa. Pośród łagodnych cieni, rzucanych przez nieregularny glob, doskonale krył się kanciasty kształt automatycznego kontenera zaopatrzeniowego. Na widniejącym tuż obok, niewielkim wzgórzu pojawił się obłok wznoszącego się w powolnym tempie pyłu zalegającego powierzchnię marsjańskiego satelity, gdy uderzył tam mikrometeoryt. Po chwili znacznie bliżej pojawiły się kolejne dwa obłoczki, rozpraszając się powoli w przestrzeni. Po czarnym, matowym korpusie kontenera przebiegły iskry, gdy kolejne mikrometeority przebiły ściany pojazdu. Przez powstałe otwory trysnęły smugi powietrza, tworząc szybko rozpraszający się obłok.

Wewnątrz, w całkowitych ciemnościach spowijających kabinę, rozległ się huk i zdławiony jęk. Nim światło rozjaśniło mrok, kajuta wstrząsnęła drugie uderzenie. Na moment zapadła cisza po czym rozbrzmiał ogłuszający świst powietrza. Maria nie bacząc na nic rzuciła się do szczytowej ściany, na której widniało kilka wbudowanych wskaźników. Jej głos z trudem przebijał się przez ryk powietrza.

- Gwałtowny spadek ciśnienia! - Bez rozkazu, wszyscy jak jeden mąż zakładali hełmy, jedyną rzecz, jaką pani kapitan pozwoliła zdjąć. Trzasnęły zasuwane osłony. Pięć minut później do wnętrza pojazdu wtargnęła próżnia. Na metalowych elementach pojawił się wodny i tlenowy szron powstały w wyniku gwałtownej dekompresji. Zszokowane oczy wszystkich zebranych spoczęły na ciele, bezwładnie unoszącym się pośrodku kabiny. Oświetlało je białe, upiorne światło paneli świetlnych. Jeden z mikrometeorytów, które uszkodziły kadłub kontenera ugodził bezpośrednio nieszczęśnika, przeszywając korpus mężczyzny po przekątnej. Krople krwi wypływające z ust ofiary zmieniły się w skrzące ciemne kryształy lodu

swobodnie lewitujące wokół ciała. Leżący na podłodze drugi mężczyzna wydawał się spać, ściskając wciąż w zastygłych dłoniach hełm, którego nie zdążył założyć. Dokoła unosiła się ósemka pozostałych członków załogi, mających więcej szczęścia. Spoglądali teraz na zabitych z przerażeniem. Chociaż byli weteranami i niejednokrotnie widzieli śmierć, ta wstrząsnęła nimi. Dwójka starannie przygotowanych, doskonale przeszkolonych żołnierzy zginęła bez powodu i sensu. Od tak, w jednej chwili. Coraz ciemniejsze myśli zebranych rozproszył dopiero mocny, stanowczy głos Renflova.

– Potrzebuję jednego ochotnika, który wyjdzie ze mną na zewnątrz, do załatania dziur w poszyciu – na prawej stronie jego pancerza widniała głęboka rysa, którą pozostawił rykoszet mikrometeorytu. Wydawał się nie zwracać uwagi na uszkodzenie. Wskazał dłonią na dwie dziury w suficie o nadzwyczaj regularnych kształtach. Wtedy zaktywizowała się pani kapitan.

– James, Allan załatacie zewnętrzne uszkodzenia, Heller i Jonas zajmiecie się zabezpieczeniem ciał – w słuchawkach wszystkich obecnych rozległ się suchy, władczy głos Daphne Larousse. Ukradkiem skinęła głową, dziękując Jamesowi za wsparcie w tym krytycznym momencie. Spoglądała za nim, patrząc jak razem z Gavoffem znika w wąskim włazie wyjściowym. Zewnętrzny osłona wejścia powoli ustąpiła bezgłośnie i czołgający się przodem sierżant musiał pomóc sobie bionicznym ramieniem, by ciężką płytę odchylić wystarczająco mocno. Zazwyczaj tą pracę wykonywała resztką powietrza, którego tym razem zabrakło. Wysunął się z włazu i powoli opadł na powierzchnię niewielkiego satelity. Na chwilę zadumał się, spoglądając na horyzont odległy zaledwie o kilkaset metrów i nagle zorientował się, że jest pierwszym człowie-

kiem na tym niewielkim ciele niebieskim. Widok potężnej sylwetki Allana wzbudził w nim wesołość. Powoli, starając się nie odpychać, ruszyli wzdłuż kontenera, starannie lustrując jego powierzchnię. Już z daleka dostrzegli biegnącą ukośnie bruzdę wzdłuż pionowej ściany. Jeden z mikrometeorytów zdarł spory fragment maskującej farby. Niczym rana na potężnym ciele wieloryba, metaliczna smuga błyszczała w świetle słabego światła Marsa. James wskazał ją idącemu z tyłu Allanowi i pokręcił głową.

Nie mieli środków ani czasu na zamaskowanie uszkodzenia mogącego ich w każdej chwili pogрузić zdradzieckim błyskiem w mroku wiecznej nocy kosmosu. Obeszli pojazd z drugiej strony wchodząc w ciemności rozciągające się w cieniu rzucanym przez kontener. Tu nie znaleźli żadnych rys. Pomagając sobie nawzajem, bez wysiłku wywindowali się w górę, cały czas uważając, by przez gwałtowne ruchy nie opuścić powierzchni satelity na zawsze. Przyciąganie Deimosa sięgało bowiem setnych części ziemskiej siły ciężenia i nieopatrny gest mógł nadać śmiałkowi prędkość wystarczającą do startu na orbitę. Na grzbietowej ścianie kontenera ziały dwie potężne dziury. Rozdarty metal smętnie zwinął się na zewnątrz pod wpływem temperatury i siły uderzenia. Natychmiast przystąpili do pracy, montując w ich prześwicie zgrubny szkielet z kilkudziesięciu wąskich tytanowych prętów. Następnie Allan wyciągnął obłą butlę, w którą uzbroił się przy wyjściu i ubezpieczony przez kolegę, począł wypełniać otwory żelującą substancją, zamieniającą się pod wpływem tlenu w twardą skorupę. Obejrzawszy swe dzieło odrzucił pusty już pojemnik. Siła mięśni wystarczyła, by butla raz na zawsze opuściła Deimosa. Renflov widząc to, puścił ramiona kolegi i zaklaskał z miną pełną pogardy. Razem zsunęli się po krawędzi ściany. Przy

włazie wejściowym dostrzegli dwa nieruchome ciała martwych kolegów.

– Połóżcie ich we wgłębieniu krateru – obaj usłyszeli w słuchawkach cichy głos Larousse. Dopiero teraz James dostrzegł drobną sylwetkę kobiety. Zacisnął zęby i gdyby mógł, dałby sobie solidnego kopniaka w tyłek. Specjalnie ich wysłała na zewnątrz, a sama wzięła się do najgorszej roboty.

– Nie zabieramy ich...? – Głos Allana wyrażał głębokie zdumienie.

– To transporter wojskowy, nie karawan – odrzekła gniewnie pani kapitan, starannie maskując żal. – Wrócimy tu po nich, gdy wykonamy zadanie na Fobosie. Teraz wypełnić rozkaz kapralu! – Posłusznie chwycili pod ramiona sztywne ciało zabitego meteorytem. Twarz martwego zdążyła przybrać upiorny, biały kolor, widoczny doskonale mimo hełmu. Mimo że nie czuli ciężaru, stąpali powoli, krok za krokiem, w stronę najbliższego wgłębienia znaczonego kilkunastoma małymi kraterami. Zatrzymali się dokładnie pośrodku. Przez dłuższą chwilę stali wyprostowani, składając hołd zabitemu. Ciało, niepodtrzymywane rękoma towarzyszy broni powoli opadło na podłoże wzbijając delikatny obłok pyłu, okrywające go niczym całun. Po chwili, obok legła druga ofiara deszczu mikro-meteorytów. Po zakończeniu smutnego obowiązku obaj wsunęli się z powrotem do wnętrza pojazdu, zamykając za sobą właz. Dopiero teraz Renflov zameldował spokojnym głosem.

– Przebiecia zabezpieczone. Możemy przywracać ciśnienie – Meldunek jednego z dwóch śmiazków, którzy opuścili kontener, wyrwał pozostałych członków załogi z apatii.

– Zatem spróbujemy przywrócić atmosferę – Daphne starała się, by zabrzmiało to lekko, ale nie bardzo jej to wyszło. Na nienaturalnie wysoki ton głosu pani kapitan nikt nie zwró-

cił uwagi, bowiem w tym samym momencie zasyczały otwory wentylatorów. Gdy Larousse dostrzegła skrzące się smugi kryształków wodnego lodu dodała chłodnym tonem, wracając do roli wrednej przełożonej.

– Malia z łaski swojej podkręć trochę temperaturę, bo się tlen zaczyna wytrącać... – Przerwała widząc za osłoną hełmu przerażoną twarz dziewczyny. Odepchnęła się od sufitu i poszybowała wprost do panelu wskaźników. Wystarczył jej jeden rzut oka. Z sześciu ogniw wodorowych, dostarczających energii zgłaszało się tylko jedno. Pozostałe zniszczył deszcz mikrometeorów.

– Boże, zginiemy tu – wyrwało się dziewczynie, a jęk przerażenia wyzwolił nagły ruch pozostałej szóstki w stronę panelu.

– A wy gdzie? – Osadził ich w miejscu ostry ton kapitan Larousse. Allan nie zdołał wyhamować i wpadł na szafkę ze sprzętem, która pod ciężarem bionicznego cielska ze słyszalnym jękiem giętego metalu poddała się uderzeniu, skręcając w pół.

– Zdaje się, że mamy zadanie do wykonania. Heller, Renflov, sprawdź silniki manewrowe. Gavoff kontrola uzbrojenia i meldunek najdalej za pół godziny jak stoimy z bronią po tej przygodzie. Jonas i Lana przejmujecie zadanie zabitej pary. Natychmiast zapoznać się z planami hangaru.

– A energia? – Wyrwał się Heller głupkowskim tonem i natychmiast zrozumiał, że wypowiedział to w złą godzinę.

– Jesteś elektrykiem? Z tego, co pamiętam, to technikiem raketowym. – Ruchem czarnych oczu wskazała na ręczne panele sterujące bocznymi silnikami.

– Wykonać rozkaz! – Zaczęli się krzątać. Dopiero wtedy kapitan pochyliła się nad wskaźnikami, w milczeniu wykonu-

jąc obliczenia. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal wpatruje się w nią przerażona twarz Malii. W jej zażawionych zielonych oczach dostrzegła całkowitą rezygnację.

– Co teraz będzie? – Wyszeptała Malia niepomna, że jej głos rozlega się w słuchawkach całej załogi.

– Zimno teraz będzie – mruknęła złośliwie Larousse, ustawiając suwaki ogrzewania na minimum.

Wtedy dostrzegła migający ekran łączności pakietowej i w jednej chwili znalazła się przy niewielkiej, czternastocalowej szklanej powierzchni. „Incoming message” głosił napis mrugający dokładnie na środku. Pod spodem pojawił się pasek postępu a po chwili migający napis został zastąpiony przez krótką wiadomość. Daphne odruchowo zacisnęła drobne pięści czytając tekst pojawiający się linia po linii

SCF „Modliszka”

Data 12.03.2079 16.04 h

O 15.54 zespół obserwatoriów Arsia Mons zaobserwował start kontenera zaopatrzeniowego z „Haiyang”.

Czas połączenia z kolonią „Aldrin” 16.35. Sygnał pilotujący i identyfikacyjny bez zmian.

Wszyscy jesteśmy z wami.

Powodzenia

Sztab Generalny Armii Konfederacji

Podpisano

Max Rupert

BATTLESTATION „ALDRIN”

W szarym, pokrytym regolitem zboczu krateru Stickney widniały dwa okrągłe cylindry o średnicy dziesięciu metrów.

Łączący ich tunel nikł bezpośrednio w zboczu. Poszycie, połyskujące w świetle odległego słońca, znaczone było dziesiątkami żłobień i niewielkich pęknięć. Burtę dalszego z cylindrów ozdobił częściowo zatarty napis „Dwarf”. Kadłub ten stanowił fragment żywej historii podboju kosmosu. To był pierwszy załogowy statek kosmiczny, który dwunastego sierpnia dwa tysiące dwudziestego czwartego roku osiadł na powierzchni Fobosa. W tej chwili pełnił rolę magazynu wysokiej próżni. Dopiero dalej widoczna była kanciasta, szeroka wieża mierząca długą na trzydzieści metrów podwójną lancą w odległą powierzchnię Marsa. Ustawiony za nią zespół teleskopów wykonywał właśnie powolny ruch w prawą stronę. Daleko ponad linią łososiowego koloru, wyznaczającą granicę marsjańskiej atmosfery widniał jasny kształt Deimosa a znacznie bliżej srebrzył się punkt oznaczający nadlatujący kontener.

Siedzący przy ekranie monitora obserwacji dalekiego zasięgu, krótko ostrzyżony brunet o płaskiej, beznamietnej twarzy, sięgnął po kawę. Drugą dłonią poprawił szerokie słuchawki na głowie. Na zbliżeniu doskonale widział szczegóły automatycznego kontenera transportowego ATV. Odwracając się krzyknął w wąską kiszkę korytarza rozciągającą się zaraz za pulpitem sterowniczym.

- Dostawa chińskiego zarcia w drodze – oglądał jeszcze przez chwilę pokancerowane burty pojazdu i uruchomił łączność wewnętrzną.

- Zespół teleskopów. Sierżant Borrel melduje podejście kontenera zaopatrzeniowego z sektora trzy dwa dwa – zerknął na wskazania przyrządów wyświetlane wprost przed nim na przezroczystym ekranie kontrolnym.

- Prędkość podchodzenia dziesięć metrów na minutę i zwalnia... - W chwili, gdy to mówił, cztery dziobowe dysze kontenera równocześnie wyrzuciły cztery strugi gazu.

- ...Zgodnie z procedurą. - Przez dłuższy moment w słuchawkach panowała cisza, po czym rozległ się męski, surowy głos.

- Tu wieża, przejmujemy kontrolę - Borrel skinął głową i przesunął się na fotelu w prawą stronę. Niemal całkowity brak ciężenia sprawił, że zaczął powoli wznosić się w górę i dopiero zdecydowana interwencja dłońmi, gdy chwycił się za uchwyty przy pulpicie sterowniczym sprawiła, że nie zderzył się z sufitem. Dopiero teraz wstał z wygodnego siedziska, by zerknąć przez wąskie, wysokie okno na główny węzeł cumowniczy. W milczeniu spoglądał na statyczny, szary krajobraz. Ot, długi ciemny tunel zakończony szeregiem muf ciśnieniowych a pomiędzy nimi pozamykane włazy ciśnieniowe. Nieco dalej, niemal w całości przysypane regolitem szerokie wrota hangaru. Wszystko nieruchome, niczym na zdjęciu. Brunet zacisnął zęby. Najbardziej drażniła go ta niezmienność. Podczas kolejnych dyżurów, mógł się tak gapić w dowolne z czterech okien pomieszczenia kontroli a i tak obraz za nimi pozostawał nieruchomy. Czasem zdawało mu się wręcz, że tkwi jak mucha w bursztynie, że wszystko poza ścianami bazy jest gigantycznym, okrutnym żartem - dekoracją. Nie miał tyle szczęścia, by oglądać pierwszy transport z „Haiyang”. Dlatego wprosił się na tą zmianę, choć przysługiwało mu czterdzieści osiem godzin odpoczynku. Dostrzegł ruch, gdy w pobliżu węzła cumowniczego uniosła się bezgłośnie niewielka chmura regolitu zdmuchiwaną rozprężającym się gazem. W polu widzenia Borrela pojawił się potężny kształt kontenera hamujący przy pomocy wszystkich czterech dysz silników, sterowanych przez Centrum Kon-

troli Lotów. Statyczny obraz natychmiast się rozmył a umysł sierżanta wrócił do równowagi. Obserwował przez dłuższą chwilę, jak hydrauliczne popychacze wysuwają ciśnieniowe mufy do przodu, poza obręb węzła cumowniczego i łączą je z gniazdami na obwodzie kontenera. Odwrócił wzrok od okna by nie patrzeć jak obraz znów znieruchomieje. Za plecami usłyszał odgłosy szurania i do kabiny kontroli wsunął się niski, barczysty mężczyzna w przepisowym mundurze marynarki Federacji Ameryki Północnej z dystynkcjami kapitana.

– Borrel do diabła, zdaje się, że wasze miejsce jest przy ekranie, nie przy oknie – spłoszony sierżant usiłował siarczyście zaskutować i nieporadnie uderzył w ścianę popchnięty impetem własnej ręki. Surowa, pociągła twarz kapitana skrzywiła się z niesmakiem, jak gdyby poczuł smród z długo niesprzątanym ustępów.

– Nie wygłupiajcie się sierżancie! – Głos kapitana był pełen nagany – wracajcie z powrotem do zajęć – wskazał na główny panel kontrolny zespołu teleskopów.

– Chciałem tylko spojrzeć na jakiś ruch na tym pieprzonym zdjęciu za oknem – usprawiedliwił się Borrel, rozcierając stłuczony nadgarstek. – Niech pan sam spojrzy. To naprawdę przywraca wiarę, że nie żyjemy w jakimś śnie wariata. – Kapitan zerknął na okno, po czym zwrócił wzrok na ekran i skrzywił się w złośliwym uśmiechu.

– Borrel, po co się gapisz przez okno, jak masz ten sam latający śmietnik na ekranie – sierżant otworzył szeroko oczy patrząc na kapitana i wyjąkał jakby nie zrozumiał przełożonego.

– Eee... no nie mogę mieć go na ekranie, bo jest już eee... przy węźle cumowniczym – nieporadnie wskazał prawą dło-

nią za siebie w stronę okna. Kapitan postąpił krok, niemal nie dotykając podłogi i warknął kiwając głową w stronę ekranu.

– Jaja sobie robicie sierżancie?. Wiem, że już długo jesteśmy w tej dziurze, ale mogę ci udowodnić zasrańcu, że za żarty na przełożonym możecie nieźle oberwać. – Borrel zbladł i rzucał się do stolika, podczas gdy oficer nie przestawał gderać.

– Wiesz, że przy zmniejszonym ciężeniu latryny łatwo się zapychają. Zgadnij, kto je będzie czyścił... – Kapitan zamilkł wreszcie, zaskoczony wyrazem twarzy sierżanta. Błady jak ściana powiedział powoli, z trudem artykułując słowa przez ściśnięte, wyschnięte na wiór gardło.

– To chiński kontener – powiedział wskazując głową na ekran, na którym widniał srebrzący się w świetle odległego słońca kanciasty kształt kontenera transportowego płynącego spokojnie przez pustą przestrzeń. Zgodnie z wskazaniem, znajdował się niecałe pięć kilometrów od powierzchni Fobosa. Oficer wzruszył ramionami i niedbale wskazał dłonią na okno – w takim razie czyj jest tamten? – I zanim dokończył pytanie w jego głowie niczym alarm, zabłysło jedno słowo, które Borrel wypowiedział głośno.

– Z Marsa...

* * *

Słuchał swego oddechu, niezwykle głośno brzmiącego w niewielkiej przestrzeni hełmu. Poprzez gładkie ściany przedniej kabiny kontenera odczuł wstrząs i drgania gładko wypoilerowanej powierzchni niewielkiej kabiny przejściowej. Gdzieś z przodu rozległ się odgłos tarcia metalu o metal. Odruchowo obejrzał się za siebie, napotykać spokojny wzrok Jamesa. Przytknął dłoń ukrytą w szerokiej rękawicy do osłony hełmu w geście milczenia. Allan Gavoff odwzajemnił ten gest, pokazu-

jąc uniesiony w górę kciuk prawej ręki. W drugiej ciążyła mu broń. Twarz zazwyczaj wykrzywiona w ironicznym grymasie, teraz była śmiertelnie poważna. Jak w zwolnionym tempie, kłapa wejściowa odskoczyła, odchylając się w dół. Za nią ukazała się długa, wąska kiszka korytarza o symetrycznym, ośmiokątnym przekroju. Renflov nie czekając na reakcję przyjaciela natychmiast wysunął się z włazu, łagodnie płynąc do potężnych drzwi ciśnieniowych, mogących w każdej chwili oddzielić ich od reszty pomieszczeń kolonii. Zbliżając się do nich, rozsunął metalową tyczkę, umieszczając ją w poprzek wejścia, uniemożliwiając zamknięcie wrót. System koordynacji ruchowej podał Allanowi informację, że ktoś przesuwa jego prawą nogę i ruszył do przodu, dając miejsce wścieklej pani kapitan. Gavoff energicznie odbił się od krawędzi włazu i pewnie wylądował na obu stopach z metalicznym uderzeniem. W tej samej chwili na końcu korytarza powoli uchyliła się druga gródź ciśnieniowa a za nią ukazała się szczupła sylwetka w mundurowych spodniach i standardowym oliwkowym podkoszulku armii. Ręce wyćwiczonym gestem uniosły w górę karabinek i rzadkie powietrze w węźle cumowniczym przeszły jazgocząca seria broni kaprała. Chwilę później James odbił się od szerokiej kryzy, którą rozpoczynał się korytarz i pomknął wzdłuż korytarza. Za nim, jak cień podążyła drobna sylwetka kapitan Larousse, przesuając stopami w nienaturalnie szybkim tempie. Błyskawicznie wpadli do śluzy, którą kończył się korytarz. Leżał w niej zabity Amerykanin. Pomiędzy szeroko rozłożonymi rękoma zbierała się jasnoczerwona krew. Tors mającej najwyżej dwadzieścia pięć lat ofiary znaczył gęsty ścieg dziesięciomilimetrowych pocisków. Daphne stanęła przy zamkniętych drzwiach. Jej energiczne rozkazy, wydawane poprzez gesty, cały zespół wykonywał bez zmrużenia okiem. Hel-

ler stojący niemal na środku śluzy odpiął z pancerza płaski, ceramiczny talerz i przyłożył go do zamkniętych wrót oddzielających marsjański zespół od wewnętrznego hangaru. Trzasnęły uchwyty na krawędziach, trwale mocując minę do stalowej powłoki. Żołnierz odsunął się na bok, podobnie jak pozostali. Powietrzem targnął wybuch i w przestrzeń korytarza pomknął ognisty warkocz. Chwilę później zewnętrzne drzwi śluzy z hukiem zamknęły się automatycznie, przesłaniając widniejący w oddali otwarty właz kontenera. Niczym gong oznajmiający rozpoczęcie meczu bokserskiego.

– Teraz wiecie, że jedyna droga wiedzie naprzód – odezwała się Larousse, korzystając z łączności krótkiego zasięgu. Siedem błękitnych diod uspokajająco paliło się na wewnętrznym obwodzie hełmu. Na osłonie wyświetlał się blado szczegółowy plan kolonii i aktualne pozycje całego oddziału. Z prawej strony widniała ilość dostępnej amunicji Helixa. Wyświetlał uspokajającą liczbę sześćdziesięciu pocisków oznaczająca pełny magazynek.

– Zgodnie z planem – warknęła, widząc, że krawędzie wypalanej w grubej na trzydzieści centymetrów grodzi ciśnieniowej zmieniły swój kolor z białego na czerwony stygnąc powoli.

– Sekcje naprzód! – Tym razem, pierwszy wysforował się Gavoff, rozginając wygięte fragmenty grodzi. Gładko przeciśnął się przez otwór wybity ciężkim ładunkiem i stanął oko w oko z oszołomionym technikiem. Klęczał on przy kontenerze transportowym, identycznym z tym, którym przybyli tu konfederaci. Widząc jak mężczyzna w opancerzonym skafandrze unosi karabinek do strzału, Amerykanin szczupakiem rzucił się za skrzynie narzędziowe. Ich rząd ciągnął się przez całą

długość niewielkiego hangaru. Gwiżdżąca seria Helixa przeszła tuż nad nim.

– Jeden na pierwszej – mruknął w mikrofon Allan przesuwając się w prawą stronę by zrobić miejsce następnym. Spomiędzy skrzyń huknął strzał z pistoletu. Pocisk uderzył w pancerz Gavoffa na wysokości brzucha i zrykoszetował.

– Do diaska, odgryza się – warknął Allan i napiął syntetyczne mięśnie nóg. Silne odbicie spowodowało, że poszybował niemal pod sufit. System koordynacji ruchowej nadał ciału mężczyzny łagodną rotację, pozwalając by obrócił się w tym samym momencie, co zdumiony przeciwnik. Jak urzeczony spoglądał na szybującą nad nim sylwetkę Gavoffa. Wtedy broń w potężnych dłoniach marsjańskiego komandosa eksplodowała serią, trafiającą wprost w czaszkę przeciwnika. Krew, fragmenty kości rozprysły się szeroko po podłodze i jednej ze ścian pomieszczenia. Poza pojedynczym człowiekiem hangar był pusty i cały zespół, zgodnie z planem natychmiast podzielił się na cztery pary. Pani kapitan z niepokojem spoglądała na szeroką sylwetkę Gavoffa i mknącą obok Lanę. Musieli samodzielnie opanować drugi hangar i tkwiącego tam „Discovery”. Druga sekcja, mająca ich wesprzeć, leżała martwa na powierzchni Deimosa. Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała się pozbyć złych myśli. Ich czekała wędrówka, którą oddziałowy złośliwiec nazwał „marszem śmierci”. Wąski korytarz wiodący wprost do części mieszkalnej kolonii. Widziała jak James i Heller ustawiają się przy drzwiach oddzielających ich od reszty „Aldrina”. Na całe szczęście wciąż pozostawały otwarte.

– Naprzód! – zakomenderowała. Kilka refleksów świetlnych padających z hangarowych lamp przemknęło po ciemnych płytach balistycznych pancerza Renflova, gdy ten odważnie zanurzył się w czeluść wąskiego korytarza. Jednym ru-

chem dłoni przełączył broń na ogień automatyczny. Szybкими, starannie wyćwiczonymi skokami, wyglądającymi dla przeciętnego człowieka nienaturalnie, sunął naprzód. Gdy w świetle wąskiego przejścia pojawiła się jakaś sylwetka, na osłonie hełmu Jamesa natychmiast wyświetlił się jej czerwony obrys. Żółte, okrągłe pole oznaczające pole rażenia broni było przesunięte za bardzo w prawo. Odruchowo przesunął Helixa i nacisnął spust. Broń z jazgotem wyrzuciła kiść pocisków, z których kilka musiało trafić w postać. Ta obróciła się na pięcie, ale upadła za róg, krzycząc w niebogłoso.

– Co tam się dzieje? – W słuchawkach Jamesa natychmiast rozbrzmiał twardy głos Larousse i jej pytanie.

– Co to za krzykacz?

James wyteńczył mięśnie i długim susem znalazł się przy skrzyżowaniu, meldując spokojnie wprost w mikrofon znajdujący się tuż przed ustami, ignorując pytania pani kapitan.

– Skrzyżowanie numer jeden opanowane... – W tym samym momencie seria pocisków skrzesała iskry tuż obok głowy Renflova. Odruchowo rzucił się na płaskie, metalowe płyty podłogi. Przeciwnik, nie czekając na ripostę schował się w jednym z dwóch wejść widniejących w prawej ścianie korytarza. Nad oboma jaśniały litery „Life support”.

– Jeden z automatem w korytarzu „B” – Renflov schował się za róg ściany. Przez skrzyżowanie, niesiony pędem, przemknął Heller a zaraz za nim Jonas. Obok raportującego przed chwilą sierżanta pojawiła się zacięta twarz Daphne Larosse. Korytarzami kolonii dopiero teraz zaczął się nieść jęklivy dźwięk alarmu...

* * *

Niską, ciasną sterownię statku międzyplanetarnego „Discovery” wypełniał ledwie uchwytny zapach tytoniowego dymu. W szerokim fotelu pilota siedział szczupły, szpakowaty mężczyzna. Cienie pod oczami otoczonym siatką zmarszczek, wskazywały na zmęczenie. Mimo to z błogością na twarzy raz po raz zaciągał się z fajki, tkwiącej w spracowanej dłoni. Gdyby nie stechnicyzowane otoczenie, doskonale pasowałby do przystani rybackiej, jako szyper. Nawet nagłe wtargnięcie kobiety w workowatym kombinezonie technika nie zburzył jego spokoju.

– Kapitanie, atakują nas! – Wrzasnęła dziewczyna, walcząc z pędem własnego ciała, kurczowo ściskając futrynę włązu. Mężczyzna wystudiowanym ruchem odsunął podciśnieniową popielniczkę i odwrócił fajkę. Z cichym syknięciem, wszystkie drobiny popiołu z cybucha zostały wessane, tak, aby żaden nie przedostał się w powietrze. Dopiero teraz wzniósł blade oczy kierując je na drżącą ze strachu techniczkę.

– Kto zatem droga pani...? – Zimne, uprzejme pytanie przerwał odległy odgłos serii. Kobieta odwróciła się lekliwie. Odepchnęła się od futryny, wpływając do sterowni łagodnym lotem.

– Nie wiem – głos dziewczyny niebezpiecznie się podniósł ku górnym rejestrom. Zaczęły w nim pobrzmiwać tony paniki. – Ci z Marsa? Bo chyba nie... Chińczycy... – Ostatnie zdanie przerwała widząc potężną sylwetkę w tytanowym pancerzu wyłaniającą się z czeluści włązu. Kapitan wciąż trzymając wygasłą fajkę w lewej dłoni, prawą, niczym rewolwerowiec, sięgnął do kabury pod pachą. Ruchem szybkim jak błyskawica wy dobył pistolet i kierując go w stronę przeciwnika wycelował wprost w osłonę hełmu. W niewielkiej przestrzeni ogłu-

szajaco huknął strzał, przeszywając przezroczystą osłonę hełmu i głowę marsjańskiego napastnika.

- Sądzę, że ma pani absolutną rację - o dziwo, głos dowódcy „Discovery” nie podniósł się nawet o oktawę. Zimny i opanowany, postąpił krok naprzód, sięgając po karabinek, który wypadł z dłoni martwemu przeciwnikowi. Ze znanstwem go przeładował.

- Usiądziesz na siedzeniu drugiego pilota - powiedział kapitan, nie spuszczając wzroku z czarnego otworu włazu. Kobieta starając się nie patrzeć na potrzaskaną, zakrwawioną osłonę hełmu, usiadła w szerokim fotelu i ukryła twarz w dłoniach. W pomieszczeniu rozległo się histeryczne łkanie.

- Boże nie chcę tu ginąć...nie...przecież...mam...dziecko...mam...rodzinę - wydawała się nie dostrzegać niczego wokół. Mężczyzna stracił wreszcie swój wewnętrzny spokój i warknął odwracając na moment wzrok ku spanikowanej dziewczynie.

- Do diabła kobieto, chcesz przeżyć czy nie?! - Głos uwiązł mu w gardle, gdy dostrzegł drugiego napastnika, który pojawił się we włazie z Helixem gotowym do strzału. Wycelowana w kapitana lufa rozbłysła ogniem a długa seria przeszyła zarówno dowódcę „Discovery” jak i kobietę wciąż łkającą w fotelu. Jej martwe ciało pchnięte impetem pocisków, osunęło się po pulpicie sterowniczym pozostawiając szeroką, krwistą smugę. Samotna postać w bojowym skafandrze uklękła przy leżącym bezwładnie towarzyszu z zakrwawioną twarzą. Nad osłoną hełmu widniało nazwisko „Gavoff”. Tylko przez chwilę spoglądał na roztrzaskaną głowę Lany.

- Sekcja Beta, minus jeden. Hangar numer dwa opanowany - w sterowni rozległ się gniewny głos Allana. Nie pozostał w pomieszczeniu ani chwili dłużej, zwinnie wsuwając się do włazu. W sterowni „Discovery” zapadła upiorna cisza. Tylko

pojedyncze krople krwi nienaturalnie powoli spadały w dół, odrywając się od pulpitu sterowniczego...

* * *

James szybkim ruchem odrzucił pusty magazynek i załadował nowy. Zerknął na Daphne, która przyczaiła się tuż przy owalnym otworze wentylatora. Przed nimi rozciągał się szeroki korytarz. Po obu stronach, w regularnych odstępach widniały drzwi z kolejnymi numerami kajut. Dotarli do przedziału mieszkalnego, gdzie jeszcze podczas planowania w bezpiecznej kolonii na Marsie, Larousse spodziewała się największego oporu. Przywitał ich podejrzany spokój i całkowity bezruch. Jedynie jęklivy sygnał alarmowy wciąż niosący się wzdłuż korytarzy kolonii, wciąż wwiercał się pod czaszkę.

– Idziemy – Larousse z miejsca skoczyła na przeciwległą ścianę i zdając się lekceważyć słabą grawitację, pomknęła naprzód. Jej towarzysz wciąż nie mógł się nadziwić nad niezwykłą sprawnością przełożonej. Jej bioniczne ręce, znacznie nowocześniejsze od mechanizmów, które sam posiadał, pozwalały na taką kocią zręczność. Gdy w świetle korytarza pojawiło się kilku Amerykanów z bronią nastawioną do walki, widok drobnej kobiety przesuwającej się wzdłuż sufitu zamurował ich. Te kilka cennych sekund wystarczyło by Daphne skierowała w ich stronę broń. Na ten widok, przeciwnicy rzucili się na boki. Dwóch nie zdążyło. Celne pociski przecięły pierwszego niemal na pół. Drugi otrzymał pojedyncze trafienie w bok i mało brakowałoby, a zdołałby się wsunąć do jednej z kabin mieszkalnych, ale w porę zareagował James, posyłając mu trzy precyzyjne strzały i kładąc go trupem. Renflov natychmiast ruszył za dziewczyną, by w razie konieczności kryć ogniem przełożoną. Jeden z odważniejszych członków załogi wychylił

się gwałtownie ze swego ukrycia. Trzymanym oburącz pistoletem zasypał korytarz pociskami, krzesząc dziesiątki iskier z pokrytych matową stalą ścian. Jeden z nich przeszył pancerne płyty pancerza i utkwiał w bionicznej ręce Jamesa. Ten zaklął, spoglądając z niepokojem na wskaźniki ciśnienia hydrauliki w układzie. Jeden z siłowników musiał zostać zniszczony gdyż moc dłoni spadła niemal o połowę. Ślepy traf spowodował, że pistoletowy pocisk uderzył dokładnie na złączeniu płyt pancerza. Trafiony komandos natychmiast odpowiedział ogniem, z zadowoleniem konstatując, że nadal w pełni włada bioniczną kończyną. Amerykanin zdołał się schować w ostatniej chwili, mimo tego, że również Larousse skierowała nań ogień. Renflov zacisnął zęby i wyszarpnąwszy zawleczkę z wyciągniętego granatu rzucił go w stronę przeciwnika. Widział jak obłe jajo odbija się od ściany i niknie w bocznej odnodze korytarza. Daphne jak błyskawica przykleiła się do bocznego muru, gdy powietrzem targnął wybuch. Zaraz później pojawiły się kłęby dymu i posypały się stamtąd jakieś paprochy. Larousse wychyliła się zza węgła, chcąc ocenić wynik eksplozji. W tym momencie gdzieś w oddali zastukała broń i sylwetka pani kapitan uderzona kilkoma pociskami bezwładnie odpłynęła w tył. Widząc to jej towarzysz nie bacząc na niebezpieczeństwo, jednym susem przesunął się przed nią, zasłaniając dziewczynę przed ogniem własnym ciałem. Wyskakując zza rogu dostrzegł w oddali dwie osoby prowadzące ogień a znacznie bliżej, leżącego bezwładnie bruneta, wokół którego zgromadziła się już pokaźna plama krwi. Natychmiast zaczął strzelać, by choć trochę powstrzymać strumień stali lecący w ich stronę. Pierwsze pociski uderzyły go wprost w pancerz na klatce piersiowej. Zaparło mu dech w piersi, ale nie przestał prowadzić ognia póki pęd nie przesunął go za przeciwległą ścianę. Natychmiast

obrócił się w stronę bezwładnie leżącej Larousse. Wciąż leżała w zasięgu ognia przeciwnika. Czując każdy nerw w plecach, wychylił się zaciskając bioniczną rękę na pasie dziewczyny i ku swojemu zdumieniu nie był w stanie jej przeciągnąć. Dłoń ze względu na wcześniejsze uszkodzenia, zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Dopiero, gdy szarpnął całym ciałem, nieprzytomna Daphne przesunęła się bezwładnie w bezpieczne miejsce. Oparł ją o ścianę i trzymając w lewej dłoni karabinek, zaczął szukać obrażeń. Na pancerzu Larousse widniało kilka bruzd i pięć śladów po trafieniach. Wreszcie dostrzegł feralne, szóste. Te uderzyło niemal dokładnie w kołnierz osłaniający gardło. Z wysiłkiem odczepił grzybek, w który zamienił się pocisk. Ogień zaporowy, wciąż prowadzony przez Amerykanów ucichł niemal równocześnie z syreną alarmową. W tej nagłej ciszy, złośliwy głos Daphne zabrzmiał tak niespodziewanie i głośno, że James aż podskoczył.

– A pan sierżant urzęduja sobie macankę z nieprzytomną kapitan? – Z trudem wypowiedane słowa wskazywały na uraz gardła. Renflov zorientował się, że trzyma dłonie w groteskowej pozie na pancerzu kobiety, mniej więcej na wysokości biustu.

– ...eee...Sprawdzam czy żyjesz... – Uchwycił mocniej Helixa i ostrożnie zerknął w stronę, skąd do niedawna dobiegały strzały. Zakaszła, starając się przełknąć ślinę przez obolałe gardło, po czym wyszeptała z niewinnym wyrazem twarzy.

– Najpierw obowiązki, potem przyjemność żołnierzu – obejrzała się w prawą stronę. Korytarz kończył się ślełą ścianą. James z niepokojem zerknął na bioniczną rękę. Drugi siłownik tracił ciśnienie. Dwa ostatnie palce przestawały reagować na impulsy płynące z mózgu.

- Szlag trafił rękę – mruknął ni to do siebie ni to do dziewczyny. Dopiero wtedy dotarł doń sens poprzedniego zdania wypowiedzianego przez Larousse. Z miną, jakiej jeszcze nikt, nigdy nie zarejestrował u spokojnego Renflova i dzi kim błyskiem w oku odpowiedział, zdając się pożerać wzrokiem drobną sylwetkę swej przełożonej.

- Nie omieszkam przypomnieć pani kapitan tych zobowiązań, zaraz po bitwie... – Z tymi słowy wyskoczył za róg, natykając się na obu Amerykanów, odległych teraz może o trzy metry. Jeden sprawdzał kondycję rannego od wybuchu granatu, drugi nacisnął spust jak tylko dojrzał wychylającą się sylwetkę. W tym starciu żaden z członków załogi stacji nie miał szans. Helix Jamesa zadrżał, wypuszczając pełny magazynek sześćdziesięciu pocisków w jednej, morderczej serii, zabijając obu przeciwników. Marsjański żołnierz stanął okragiem nad ciężko rannym Amerykaninem. Zerknął na niego przez ułamek sekundy. Granat poszarpał mu plecy i niemal urwał prawą nogę. Z pokrwawionego munduru, niczym podpis w kostnicy sterczała tabliczka identyfikacyjna, na której laserowo wryto litery „sgt. Borrel”. Wokół zapanowała cisza. Czuł na sobie wzrok ciężko rannego, ale nie zwracał na niego uwagi. Bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że pani kapitan wysunęła się z za rogu. Dopiero jej stłumiony przez uraz gardła rozkaz, zaskoczył Jamesa, z wprawą zmieniającego magazynek. Puste, polimerowe pudełko powoli opadło w stronę podłogi niemal bezgłośnie zderzając się z karbowanym podłożem wyściełającym podłóże korytarza.

- Ubezpieczaj, opatruję – ukląkł na jedno kolano, opierając się prawą stroną o ścianę korytarza. Słyszał za sobą krzątanie i ciche jęknięcia Amerykanina. Czas dłużył mu się w

nieskończoność. Wydawało się, że minęła wieczność, nim usłyszał zbawcze słowa pani kapitan.

– Ruszamy – poczuł lekkie klepięcie w ramię i nogi automatycznie poniosły go naprzód. Niczym duchy przemknęli opustoszałą część mieszkalną kolonii. Z oddali dobiegło pojedyncze staccato strzałów z Helixa. Zawtórowały mu suche stukania amerykańskich M-612. Niemal jednocześnie w słuchawkach pani kapitan rozbrzmiał podniecony głos jednego z marsjańskich żołnierzy.

– Tu Heller. Przyskrzyniliśmy z sześciami w przedziale bojowym! – Ogień potężniał z każdą chwilą. Dwójka oficerów przyspieszyła kroku. Wypadli na skrzyżowanie z główną magistralą transportową. Na samym jej końcu, tuż przy okrągłej, masywnej kryzie, za którą kryły się najstarsze moduły bazy, tkwiło dwóch marsjańskich komandosów. Posyłał serię za serią w światło wąskiego korytarza. Daphne zacisnęła zęby i wyteżyła bioniczne mięśnie by w kilku szybkich rzutach ciała dotarła do podwładnych. Nie zwrócili nań uwagi, strzelając jak opętani. Dopiero silne szturchnięcie w ramię spowodowało, że zaaferowany walką Heller odwrócił się na moment, by spojrzeć wprost w ciemne, wściekle oczy pani kapitan.

– Ty co? Przywiozłeś tonę amunicji? – Larousse warknęła wściekła, wskazując ruchem głowy na rozgrzany karabinek. Z osłony lufy Helixa unosiły się obłoczki pary. Jonas usłyszawszy, że partner przestał strzelać, również cofnął się za kryzę. Korzystając z chwili przerwy natychmiast przeładował broń.

– Koniec z partyzantką panowie – dłuższe, głośniejsze wypowiedzi wyraźnie sprawiały pani kapitan ból, toteż robiła krótkie przerwy pomiędzy kolejnymi zdaniami.

– Pokryjemy ogniem najbliższy fragment korytarza. Heller wskakujesz jako pierwszy do tunelu 1A – kapitan miała na

myśli wejście do pierwszego modułu, który wylądował na Fobosie. Zgodnie z posiadanym przez nich planem, obecnie był tam magazyn wysokiej próżni. Te dziesięć metrów starego, przypominającego rurę kanalizacyjną korytarza wydawało się odległością nie do przebycia. Zwłaszcza, gdy w każdej chwili cały prześwit mogły wypełnić kąśliwe kule „em szóstek”. James, który spokojnym tempem dotarł do trójki towarzyszy, słuchał rozkazów Daphne, z rozbawieniem spoglądając na zaniepokojone miny obu żołnierzy.

– To ty chciałeś zostać bohaterem Jonas – mruknął, budząc nerwowe uśmiechy i złe spojrzenie pani kapitan. Skontrolowała sytuację na spowitym obłokami pary przejściu i warknęła pod nosem.

– Nikt nie zostanie bohaterem do diabła. Wbijcie sobie to do tych łysych głów. Nikt... – Głos jej zamarł w gardle, gdy dostrzegła błysk broni tuż za szeroką kratą wentylacyjną przesłaniającą sufit nad skrzyżowaniem korytarzy. Huknęła seria amerykańskiego karabinu. Pociski z bezpośredniej odległości przeszły osłonę hełmu Hellera, zamieniając twarz żołnierza w miazgę. Nim ktokolwiek zdołał zareagować, część kraty spadła i na korytarzu zaroilo się od sylwetek w zielonych uniformach armii Federacji Ameryki Północnej. Huknęło kilka niecelnych strzałów, James próbował powstrzymać natarcie jednego z napastników, ale uszkodzona ręka ostatecznie odmówiła posłuszeństwa. Wobec takiego obrotu sprawy sięgnął po szeroki nóż umieszczony w rynsztunku na klatce piersiowej. Larousse nie mogąc strzelać tak, by nie razić swoich, również sięgnęła po bagnet. Jakiś zbłąkany, pistoletowy pocisk zrykoszetował od twardego pancerza na ramieniu dziewczyny, gdy rzucała się w sam środek walki. Z impetem wpadła na wielką, ponad dwumetrową postać jednego z przeciwników.

Pchnięty uderzeniem, odbił się od ściany pozostawiając wgłębienie w metalowej obudowie korytarza. Dziewczyna uruchomiła swe bioniczne kończyny na pełnej mocy. Amerykanin zdołał nawet odwrócić się i unieść wielkie dłonie w obronnym geście, ale nie miał szans w zwarciu z dziewczyną, której ręce miały pół tony w ścisku. Zawył, gdy precyzyjne uderzenie Daphne zmiażdżyło mu jedno z przedramion. Pięść drugiej dłoni wdusiła mu nos do wnętrza twarzy, zabijając na miejscu. Jeden z pozostałych Amerykanów chwycił dziewczynę w pól i rzucił w stronę ściany, tak by głowa trafiła w ostre kandy rogu korytarza. Niewiarygodnym dla przeciwnika zgięciem wiotkiego ciała, Larousse okręciła się wokół własnej osi, kierując stopy w stronę kierunku lotu, odbijając się po chwili od pokiereszowanej powierzchni ściany. Kątem oka dostrzegła Jamesa, otrzymującego cios bagnetu wprost w bezwładną, bioniczną rękę. Zacisnąwszy z desperacją usta, runęła na swego adwersarza, rozsuwając szeroko ręce. Amerykanin przez moment zawahał się, nie wiedząc czy skupić się na uzbrojonej w nóż prawej dłoni, czy lewej, równie niebezpiecznej. To niezdecydowanie zgubiło go. Larousse w jednej sekundzie znalazła się tuż przed nim zadając potężny cios ostrzem. Amerykanin próbował go niewprawnie sparować, ale nie był w stanie zatrzymać impetu uderzenia. Ostrze ze zgrzytem wdarło się niemal do połowy korpusu mężczyzny. Niemal w tym samym momencie usłyszała rozpaczliwe rżenie Jonasa.

– Padnij! – W słuchawkach marsjańskich żołnierzy rozbrzmiał głęboki bas Gavoffa. Jego potężna sylwetka pojawiła się na skrzyżowaniu. Na torsie widniały dwa głębokie przebięcia, z których sączył się płyn hydrauliczny, pozostawiając niebieskawe smugi na dolnych częściach pancerza. Hełm znaczący był głęboką bruzdą po pocisku. W dłoniach trzymał Helixa i

nie bacząc na nic, nacisnął spust, zalewając przestrzeń przed sobą rojem dziesięciomilimetrowych wolframowych rdzeni. Daphne rzuciła się wprost na podłogowe płyty korytarza pchnięta impulsem bionicznych kończyn. Amerykanie nie mieli cienia szansy. Cztery ciała, przeszyte na wylot, brocząc z kilkudziesięciu ran, łagodnie opadły na podłogę. Larousse zwinnie wysunęła się spod martwego Amerykanina i ogarnęła wzrokiem miejsce starcia, skąpane we krwi. Renflov z trudem usiłował się podnieść. W bionicznym ramieniu tkwił standardowy bagnet federacji. Pod ścianą leżało ciało Jonasa. Tuż przy kołnierzu widniała rękojęść noża wbitego w gardło żołnierza.

– W ostatniej chwili co? – Zapytał z przekąsem Allan. Jego twarz była przeraźliwie blada. W zapadłej nagle ciszy, niezwykle głośno zabrzmiały serwomotory jego ręki, gdy oparł się o ścianę by nie upaść.

– Pierwszy raz się z tobą zgadzam – mruknął James, powoli wstając na nogi. Z niejakim rozbawieniem spojrzął na nóż wciąż tkwiący w jego prawej dłoni. Daphne spoglądała na obu z niepokojem, ale nie dało się go usłyszeć w stalowym tonie jej rozkazów.

– Gavoff do kryzy, Renflov do tych diabelskich kanałów. Nie możemy sobie pozwolić na następny taki atak znieenacka...

– Ponuro spojrzała na dwa martwe ciała swoich żołnierzy. Nie chciała tego, ale musiała uruchomić swój ostateczny odwód. Malia i Horsh, specjalnie szkoleni do obsługi uzbrojenia „Aldrina”, teraz musieli wystąpić w roli zwykłych żołnierzy. Ukradkiem spojrzała na zegar wyświetlający się w górnej części hełmu i zacisnęła zęby już o szesnaście minut dłużej niż przewidywała. Gdzieś w pociętym pociskami korytarzu coś upadło z brzękiem. Na ten dźwięk dziewczyna przetoczyła się za róg korytarza.

- Mam ruch na przedpolu - rozległ się spokojny głos Renflova. Daphne zerknęła odruchowo w górę, ale dostrzegła tylko podeszwy jego butów magnetycznych. Chwilę później w kanale wentylacyjnym zajazgotał Helix. Jednocześnie zawtórowała mu broń Gavoffa, który nie bacząc na niebezpieczeństwo, wsunął się do wąskiego korytarza i zasypał pociskami idącą naprzeciw sylwetkę. Amerykanin, nawet odziany w ciężki skafander do robót na zewnątrz, nie miał szans w starciu z przeciwpancernymi pociskami wystrzeliwanymi z niespełna dwudziestu metrów.

- Siedemnastu zabitych, jeden ciężko ranny - odezwał się po kilku minutach milczenia Renflor i dodał spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

- Wygląda na to, że mamy wszystkich... - Allan bez zaczepki ze strony pani kapitan dotarł ciężkim biegiem do centrum bojowego i stwierdziwszy, że nie znajduje nic, co by przypominało mechanizm samozniszczenia odetchnął z ulgą, co doskonale słyszeli jego towarzysze.

- Udało się ... - Szepnął Gavoff pod nosem, zupełnie nie jak on. Bez ukrytej ironii, bez standardowego zazwyczaj szelmstwa. Tak po prostu opadło z niego napięcie. Usiłując powstrzymać łzy szczęścia kapiące mu po usmarowanych płynem hydraulicznym policzkach, wpatrywał się w rozświetlony ekran bojowy dział Gaussa13.

- Do cholery udało się nam... - Usłyszawszy ciche kroki odwrócił się, by dostrzec wchodzącą Daphne Larousse. Pani kapitan postępowała powoli krok za krokiem, jakby obawiając się obszernego wnętrza centrum bojowego, wypełnionego sprzętem elektronicznym. Oparła dłonie na głównym pulpicie sterującym, skąd był doskonały widok na całe pomieszczenie.

– Udało się – potwierdziła cichym, spokojnym głosem, kiwając powoli głową. W zamyśleniu spoglądała na wygaszone ekrany bojowe.

– Sekcja Gamma zameldujcie się natychmiast w przedziale dział magnetycznych. – Odpowiedziało jej stłumione mruczenie i zapadła ponowna cisza, którą przerwał dopiero James, wkraczając do środka.

– A więc to jest słynne centrum bojowe – silił się na humor, ale w oczach pozostałej dwójki nie zobaczył go. Zdobyli kolonię, wykonali pierwszą część zadania, ale połowa oddziału leżała martwa. To skutecznie gasiło radość. Oczy całej trójki nagle postarzały się w ciągu pół godziny, bardziej niż przez ostatnie kilka lat. Daphne, nie zwracając uwagi na stojącego wciąż przy szerokim ekranie Gavoffa, gapiącego się w gwiazdy, podeszła do stojącego przy drzwiach Renflova i przytuliła się doń.

– Nam się też udało... – Szepnęła i choć powiedziała to do mikrofonu, słowa te były skierowane do Jamesa. Nic nie mówiąc, objął ją lewą ręką...

„HAIYANG”

Kabinę kapitańską niszczyciela rozświetlała błękitna poświata rozlewająca się z płaskiego ekranu, wypełniającego ścielnie jedną ze ścian niewielkiego pomieszczenia. Dowódca jednostki stał wyprężony, zajmując niemal całą wolną przestrzeń. Salutował, słuchając rozkazów przekazywanych przez zwierzchnika widocznego doskonale na ekranie dzięki telekonferencji z Ziemią.

– ...Zatem od godziny osiemnastej zero zero czasu miejscowego, a więc za sto sześćdziesiąt dwie minuty kończy się

ultimatum i otrzymujecie prawo użycia wszelkich środków bojowych, jakie będą konieczne. Jeśli będzie trzeba, usuniecie cele zgodnie z listą uderzeniową nr dwa. Partia i Naród patrzają na was, towarzyszu! – Zakończywszy pompatyczne przemówienie, admirał znikł a ekran poszarzał i zgasł. Kapitan jeszcze przez chwilę stał wyprężony, po czym odwrócił się sztywno i sięgnął do zasobników. Chwytał staromodny notatnik i przez moment w nim notował. Dopiero po kilku minutach odłożył długopis do idealnie uporządkowanego pojemnika i wysunął się na wąską kiszkę korytarza wiodącego wprost na mostek. Minął go przemykający wzdłuż koncentrycznie umieszczonych uchwytów niski, wąty Ho Huan, główny mechanik. Niemal nie patrząc na dowódcę wymruczał coś, co miało być powitaniem, zwinnie przesunął się obok i znikł za okrągłym włazem prowadzącym do kabiny kontroli reaktora. Dowódca przez chwilę spoglądał za nim, w milczeniu trawiąc pewien brak szacunku ze strony podwładnego. Górę jednak wzięła świadomość siły, która za niespełna trzy godziny znajdzie się w jego ręku. Powoli przesuwał się w stronę mostka, upajając się otwierającymi się przed nim możliwościami. Oto sam jeden zmusi zbuntowane kolonie do uległości. W zrzutniach czekały już nuklearne głowice bojowe, czekające na rozkaz do startu. I nie zamierzał z nim zwlekać ani minuty. Powoli, z wyczuciem, jak przystało na dostojnika partii, wkroczył na pomost stukając magnetycznymi wkładkami butów. Powitały go ukradkowe spojrzenia trzeciej wachty. Za pancernymi oknami mostka powoli przesuwała się powierzchnia Marsa. Mimo sporej odległości, załoga miała okazję podziwiać ogromne rozdarcie w skorupie planety. Valles Marineris prezentowała się w świetle odległego Słońca przepięknie. Wąskie smugi obłoków przesłaniały niewielkie fragmenty ogromnych kanionów dopełnia-

jących obraz potęgi natury. Jak jeden mąż, cała obsada sterowni „Haiyang” spoglądała na te widoki, niedostępne dla większości ludzi, podziwiając je w milczeniu. Przelatywali nad najszerszą częścią doliny, nad Melas Chasma. Kapitan gniewnie wspominał bunt, który odciął Ziemię a przede wszystkim Chiny od tych bogactw. „Dysydenci” prychnął w myślach i zebrał się w sobie, włączając mikrofon łączności pokładowej. Głośniki wmontowane w każdym pomieszczeniu niszczyciela zachrobotwały przez moment i rozległ się silny, pewny głos jego dowódcy.

– Mówi wasz kapitan. O godzinie osiemnastej czasu pokładowego otrzymujemy pełnię prerogatyw łącznie z możliwością użycia pełnego zakresu uzbrojenia „Haiyang”. Jeszcze dziś przywrócimy władztwo Ludowej Republiki Chin nad Marsem! Niech żyje partia!

Odpowiedziały mu okrzyki radości załogi. Stonowane na mostku, o wiele bardziej spontaniczne w kontroli reaktora i przedziale bojowym. Kapitan z zadowoleniem słuchał podwładnych. Zdawkowy uśmiech widniejący na jego zazwyczaj całkowicie beznamiętnej twarzy tylko potwierdzał dobry humor dowódcy. Spokojnie usiadł na szerokim fotelu kapitańskim i spokojnym głosem zadysponował

– Wchodzimy na orbitę synchroniczną do Fobosa. Najdalej w ciągu godzinę chcę być w zasięgu stacji kosmicznej FNA.
– Sprawnie przełączył suwak łączności i zimnym głosem wydał polecenie.

– Przedział bojowy, przygotować dwie głowice do odpalenia. Cel główny, obszar zespołu mieszkalnego „Xiao Ping”, cel zapasowy kolonia „Olimpic”.

– Na rozkaz – w głośniku rozbrzmiał służbisty głos oficera uzbrojenia i zapadła wymowna cisza.

Na szerokich kratownicowych osłonach niszczyciela pojawiły się niewielkie smugi gazu, gdy siłowniki hydrauliczne rozsunęły powoli kwadratowe osłony pionowych silosów startowych. Z cienia, rzuconego przez pokrywy wyłoniły się półokrągłe, czarne czepce balistyczne rakiet średniego zasięgu „Mały Marsz”. Każda z nich zawierała głowicę atomową o mocy stu kiloton, wystarczającą, by zniszczyć bezpośrednim trafieniem każdą marsjańską kolonię. Czerwony blask odbijających się od odległej powierzchni planety spływał po metalicznie skrzących się korpusach rakiet, sprawiając wrażenie krwistych zacieków...

* * *

Wygaszone światła pozycyjne i radiolatarnie sprawiały wrażenie, jakby stacja „Aldrin” wymarła. Kontener przy węźle cumowniczym i pozamykane drzwi hangarów, wszystko tkwiło w bezruchu. Jedynie kilka pojedynczych, rozpraszających się w próżni niewielkich obłoków tlenu i wody, uciekających z nieszczelnych instalacji świadczyło o życiu w kolonii. Nie zamieniła się jeszcze w zimny, suchy grobowiec. Potężna wieża umieszczona na samym końcu opuszczonych budynków osiedla powoli zaczęła się kręcić w prawą stronę. Jednocześnie dwie długie lufy uniosły się w górę, celując ponad granicę marsjańskiej atmosfery, gdzieś w czarną pustkę kosmosu. W jednym z wąskich, pancernych okien wieży na moment zabłyśło migoczące światło ognia.

Wewnątrz wieży, przy głównej konsolce sterującej siedziały dwie osoby z uwagą obserwując wskazania przyrządów. Ekran przed nimi wyświetlał przeliczaną na bieżąco orbitę „Haiyang”. Za nimi, na rozkraczonych nogach stał Gavoff. Trzymając ręce splecione z tyłu, na plecach, raz po raz zaciągał

się papierosem, produkując kłęby błękitnego, tytoniowego dymu. Gdzieś w korytarzu rozległo się kasłanie i do pomieszczenia weszła kapitan Daphne Larousse, przybierając swój standardowy, wredny wyraz twarzy.

– Gavoff, kazałam ci nie dotykać niczego, co należało do Amerykanów. – Spojrzała nań z nieukrywaną złością – dotyczyło to również papierosów! Niczego! – Powtórzyła z naciskiem. Palacz w odpowiedzi wzruszył ramionami i uczynił coś, co doprowadzało Larousse do białej gorączki. Powoli trącił trzymanego w ustach tłącego się papierosa. Popiół rozsypał się natychmiast. Majestatycznie to wędrował w górę, to opadał, ulegając zmiennym strumieniom powietrza bardziej nań wpływających niż słaba grawitacja Fobosa.

– Taaak – przeciągłe warknięcie kapitan zwiastowało nadchodzącą burzę – panie kapralu, macie trzy minuty na wyprowadzkę z przedziału bojowego dział magnetycznych. – Postąpiła krok naprzód i dodała tonem, w którym pobrzmiwała chłodna stal.

– Nie zostało wam wiele czasu. A następnego papierocha zgaszę ci na czole... – Allan starał się zachować nonszalancki, beztroski wyraz twarzy, ale nie dało się zauważyć szybkości, z jaką opuścił pomieszczenie. Pozostawił za sobą smugę rozpraszającego się powoli błękitnego dymu. Dopiero teraz kobieta przyjrzała się uważnie odwzorowanej na głównym ekranie trasie pojazdu przeciwnika. Komputery balistyczne nieustannie przeliczały możliwość trafienia dwoma pociskami zubożonego uranu, długości niemal półtora metra, tkwiącymi w komorach startowych obu dział Gaussa. Ekran odwzorowywał to w postaci czerwonej elipsy przesuwającej się w ślad za punktem oznaczającym chiński niszczyciel.

– Pani kapitan – odezwała się Malia siedząca przy konsolce – czemu nie strzelamy? Oni mogą zaatakować naszych w każdej chwili... – Dodała oskarżycielskim tonem. W głowie jej się nie mieściło, że nie otworzyli ognia zaraz po tym, jak „Haiyang” znalazł się w zasięgu systemów rozpoznawczych. Cała rodzina Malii mieszkała w Olympic, najbardziej zagrożonym przez atomowy ostrzał. Nie rozumiała zwlekania z rozpoczęciem zasadniczej części akcji.

– Szeregowo, więcej zaufania do dowództwa – odpowiedziała zimno Larousse nie racząc zaszczyścić swej rozmówczyni spojrzeniem. W zamyśleniu patrzyła na główny ekran taktyczny. Zmarszczyła czoło, intensywnie się nad czymś zastanawiając. Nawet nie zauważyła, jak do kabiny wkroczył James i stanął zaraz przy włączniku, opierając się o obłą, betonową ścianę.

– Mówię do pani – w głosie Malii pobrzmiwała desperacja. Odkręciła fotel od konsoly by spojrzeć na drobną sylwetkę przełożonej – nie traćmy ani chwili. Nasze wahanie to śmierć dla tych na Marsie. Oni w nas wierzą! – Wydawało się, że siedzący obok Horsh podziela jej zdanie, mrużąc coś potakująco pod nosem. Daphne dopiero po dłuższej chwili opuściła wzrok z ekranu na siedzącą dziewczynę. W jej dużych ciemnych oczach widniał lód.

– Nie zwolniłam was z posterunku – odpowiedziała zimno i wskazała na konsolę – natychmiast na stanowisko bojowe! – Na twarzy Malii pojawiły się duże łzy. Nie chciała, nie mogła zrezygnować. Tak niewiele brakowało, by zapewnić swej rodzinie bezpieczeństwo. By jej niespełna trzyletni synek był bezpieczny.

– Nie mogę... – W głosie operatorki brzmiała matczyna desperacja. Narastający kryzys rozładował niespodziewanie

spokojny ton Jamesa, który odezwał się ze swego stanowiska przy wejściu.

– Malia, chiński niszczyciel ma napęd atomowy. Zatankował paliwo w tej bazie zaraz po przylocie. Wymanewruje każdy strzał z większej odległości i za pomocą swoich głowic zamieni nas w obłok pyłu. – Dobitne zdania wypowiedane pewnym siebie głosem podziały na dziewczynę mocniej niż cokolwiek innego. Zrezygnowana wcisnęła się głębiej w fotel, trawiąc wiedzę przekazaną jej przez Jamesa. W zapadłej ciszy, jak skarga rozległ się jej jęk.

– Ci wszyscy zabici...po co? I tak już...nie...ma...nadziei – dziewczyna załamany głosem, jękając się zaczęła swą skargę, nie adresując jej do nikogo w szczególności. Larousse postąpiła krok naprzód i stanęła przed fotelem operatorki. Wyciągnęła prawą dłoń, przesuwając ją z cichym szumem serwowatorów ku płaczącej. Chwyciła ją za podbródek i uniosła w górę, patrząc na załamioną, poczerwieniałą twarz dziewczyny.

– Nie kochana – zaprzeczyła pani kapitan, cedząc słowo za słowem, przez zaciśnięte szczęki – wycelujesz najlepiej jak potrafisz i wyślesz tych drani do piekła! Za niespełna pół godziny – Malia zamrugała oczami w całkowitym zaskoczeniu, gdy pani kapitan puściła jej podbródek i cieplejszym tonem dodała.

– I zrobisz to nie dla mnie, nie dla ludzi na Marsie, nawet nie dla zabitych. Zrobisz to dla swojego syna – głos Larousse tchnął taką pewnością siebie w operatorkę, że ta otarła łzy wierzchem dłoni i energicznie odwróciła się do konsoly. Dopiero teraz pani kapitan ukradkiem się odwróciła, dziękując lekkim ukłonem Jamesowi za pomoc. Ten odwzajemnił się szerokim, bezgłośnym uśmiechem.

Na ekranie taktycznym, niszczyciel Chińskiej Marynarki Ludowej „Haiyang” powoli przekroczył odległość trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów...

* * *

Główne dysze manewrowe prawej burty „Haiyang” rzygnęły gorącym wodorem, precyzyjnie obracając pojazd grzbietem do powierzchni planety. Dwie szerokie, płaskie anteny radarów, leżące dotąd płasko wzdłuż kadłuba, teraz uniosły się w górę, omiatając potężnymi impulsami odległą powierzchnię Marsa. Intensywnie pracujący system informacji taktycznej wypracowywał na tej podstawie dane dla poszczególnych komputerów balistycznych każdej z rakiet.

– Kapitanie – głos operatora wytrącił dowódcę niszczyciela z zamyślenia. Nie zwracając uwagi na rozciągające się za oknem widoki, zapytał z całkowitym spokojem.

– O co chodzi bosmanie? – W odpowiedzi, podwładny przesłał na ekran kapitański dane i relacjonował podniesionym głosem, starając się zachować powagę.

– Namiar na cel główny gotowy, namiar na cel zapasowy, plus minus dwa kilometry. – Dowódca nawet nie próbował przeliczać odległości. Przy stu kilotonach mocy pojedynczej głowicy, nawet brak idealnego trafienia nie był problemem.

– W porządku, wprowadzić i przygotować do odpalenia – rozbrzmiał krótki, rzeczowy rozkaz. Kapitan dostrzegł na tle czarnej nocy kosmosu powiększający się, szary kształt Fobosa. Wpatrywał się w niego z nieukrywaną złością. „Przyjedzie czas i na wygnanie tych niebieskookich diabłów” – ta myśl natychmiast poprawiła humor głównodowodzącego. Mimo chłodnej współpracy, wymuszonej okolicznościami a nie wzajemną chęcią zbliżenia, kapitan serdecznie nienawidził Fede-

racji Ameryki Północnej i dawał to odczuć na każdym kroku. Rozkazy z sztabu marynarki były jasne a kapitan Xo Heng zawsze wykonywał admirałskie polecenia co do joty. Tylko dlatego nie atakował samotnej amerykańskiej placówki. Rzucił ostatecznie, nienawistne spojrzenie w stronę odległego, marsjańskiego księżycy i zwrócił wzrok na panele sterujące silosów raketowych. Testy napędu każda z raket przeszła wzorcowo. Operator, czując obecność dowódcy, drżącą ręką włączył testy systemów naprowadzania, gdy na mostku zawyła naraz syrena alarmowego systemu zbliżeniowego. Kapitan w jednej chwili znalazł się na swoim fotelu. Doskonale wyćwiczona obsada mostka natychmiast zostawiła przygotowania do odpalenia raket na boku. Trzasnęły klamry czteropunktowych pasów bezpieczeństwa zamontowanych na każdym z foteli.

– Radary zbliżeniowe wychwyciły dwa obiekty z sektora jeden, jeden, trzy – suchy głos operatorki nie zdradzał żadnych emocji, gdy raportowała.

– Prędkość zbliżeniowa osiem kilometrów na sekundę... – Równie z tymi słowy, kadłubem „Haiyang” targnęło wyczuwalne przez wszystkich szarpnięcie.

– Poszerzyć zakres obserwacji – warknął kapitan, wpatrując się w ekran. Natychmiast dostrzegł na nim kierunek skąd nadlatywały obiekty – od strony Fobosa. Radar, przełączony przez jednego z operatorów na dookólny tryb obserwacji natychmiast wychwycił drugą chmurę obiektów lecącą w ich kierunku.

– Atak obszarowy ze strony FNA „Aldrin” – niewzruszonym głosem zameldowała naraz operatorka, choć nakreślany przez radar obraz elipsy oznaczającej nadlatujące pociski był dla załogi niszczyciela wyrokiem śmierci. Mimo, że sternik zareagował natychmiast, wduszając dźwignię startową główne-

go napędu do oporu, było za późno. Gdzieś w głębi kadłuba rozległo się narastające wycie turbin podających wodór do dysz silnika nuklearnego, ale w tej samej chwili pierwsze wrzecionowate ostrosłupy z zubożonego uranu, poczęły uderzać w powierzchnię niszczyciela z prędkością niemal ośmiu kilometrów na sekundę. Grube poszycie pojazdu poddawało się, jakby było z papieru. Kilka przebiło na wylot prawą turbinę głównego napędu. Z powstałego otworu strzeliła struga gorącego wodoru pod ciśnieniem wprawiając kadłub niszczyciela w niekontrolowany obrót. Rozszalałe łopatkami rozpadającej się turbiny rozprysły się na podobieństwo granatu, szpikując wnętrze kadłuba dziesiątkami niewielkich, radioaktywnych igieł. Załoga mostka została w całości unicestwiona, gdy cała grupa kosmicznych szrapneli przeszła pomieszczenie, dziurawiąc je jak rzeszoto. Jeden z nich trafił bezpośrednio kapitana, rozrywając go niemal na pół. Nie zdążył wydać ostatniego rozkazu, operator broni balistycznej znikł razem ze swym fotelem, wyssany na zewnątrz przez rozbite szyby sterowni. W ułamku sekundy pomieszczenie mostka zalała próżnia, zabijając tych, którzy jeszcze żyli. „Haiyang” obracając się w niekontrolowany sposób schodził z orbity, rozsiewając wokół resztki tlenu i wodoru, tworzących wokół pokieroszowanego kadłuba woal na podobieństwo ogona komety. Ogień, który wybuchł w ocalałych pomieszczeniach, wypalił natychmiast cały tlen dusząc czterech członków załogi z pierwszej i drugiej wachty mostka kapitańskiego. Główny mechanik ze swego miejsca w centrum obsługi reaktora doskonale orientował się w rozpaczliwej sytuacji. Na schemacie okrętu, kolejne sekcje kadłuba rozbłyskiwały czerwonym światłem oznaczającym ich całkowite zniszczenie. Załogę maszynowni ocalił solidny płaszcz złożony ze stali, polimerów i tytanu, zabezpieczający resztę

pojazdu przed promieniowaniem. W chwilę po alarmie cała obsada maszynowni założyła skafandry, dlatego nie zwracali na ucieczkę atmosfery przez nieszczelności w grodziach. Wkrótce syk ucichł, gdy w pomieszczeniu reaktora zapanowała próżnia. Sytuacja się szybko pogarszała. Nieliczne, działające jeszcze czujniki wskazywały szybki wzrost temperatury zewnętrznego poszycia i rosnącą radioaktywność.

- Awaryjne wyłączenie reaktora – zadysponował nerwowym głosem główny mechanik, patrząc na pulpit sterowniczy. Podwładny, stojący obok w jaskrawym, pomarańczowym skafandrze, natychmiast odsunął przezroczystą osłonę i wdusił czerwony przycisk znajdujący się pod nią. Pięć metrów dalej, pod osłoną reaktora bezgłośnie eksplodował pirotechniczny napęd stu prętów sterujących, wypychając je do przedziurawionego rdzenia reaktora.

- Nie weszły do końca – płaczliwy głos technika oderwał wreszcie uwagę głównego mechanika od pulpitu sterowniczego. Rzeczywiście, reakcja łańcuchowa w trzewiach reaktora nie ustała całkowicie. Czy to było wewnętrzne uszkodzenie, czy kanały prętów zdążyły się już wypaczyć od temperatury lub ciśnienia, nie miało znaczenia. Od tej chwili, obsada maszynowni nie była w stanie zatrzymać rozszczerzenia atomów zachodzącego cały czas w reaktorze. Główny mechanik włączył zewnętrzny system łączności.

- Tu Huan Ho. Nie możemy zatrzymać reakcji łańcuchowej. Rekomenduję opuszczenie okrętu... – Przez sekundę, czy dwie, cała trójka słuchała w napięciu, ale w słuchawkach nie rozbrzmiał już żaden głos. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że są ostatnimi żywymi ludźmi na radioaktywnym, targanym wewnętrznymi wybuchami wraku. Ostatni oficer na pokładzie natychmiast podjął decyzję.

– Opuszczamy okręt! Do kapsuły ratunkowej! – W jednej chwili znaleźli się przy drzwiach ciśnieniowych, zatrzaśniętych automatycznie by uniknąć utraty powietrza. Huan pociągnął za szeroki uchwyt awaryjnego otwierania ręcznego i jedno skrzydło odchyliło się ukazując korytarz zalany feerią iskier, spowity w kłębach pary i tlenu wyciekających ze zniszczonych instalacji. Raz po raz wybuchał błysk płomienia i gaś natychmiast duszony przez próżnię. Trójka Chińczyków z przerażeniem spoglądało na powierzchnię Marsa, widoczną poprzez dziury w poszyciu wyrwane uranowymi pociskami i wtórnymi wybuchami wewnątrz niszczyciela. Główny mechanik odważnie zanurzył się w to piekło, podążając w stronę centralnego punktu statku, gdzie zlokalizowany był włącz do jedynej kapsuły ratunkowej. Kilkoma szybkimi rzutami ciała przesunęli się przez korytarz, nie korzystając z magnetycznych butów umożliwiających nieporadne chodzenie. Słabnące strumienie wypływających pod ciśnieniem gazów kilkakrotnie rzucało trójką uciekinierów po elastycznych ścianach przejścia, ale dotarli do włącz awaryjnego bez obrażeń. Huan Ho pierwszy dotarł doń i nie czekając na nic, energicznie zakręcił mechanizmem otwierającym, nie zwracając uwagi na zakrwawione strzępy ciała unoszące się powyżej. Okrągły włącz wyglądał jak żywcem wyjęty z filmów wojennych o okrętach podwodnych. Gdy uchwyt zamykający puścił, włącz bezgłośnie odskoczył pchnięty sprężyną ukazując wąski, okrągły w przekroju tunel. Obaj technicy, jak duchy wyłonili się z oparów i kolejno znikli w klaustrofobicznym mroku przejścia. Huan Ho ruszył za nimi, opuszczając pokład, jako ostatni żyjący członek załogi niszczyciela.

Od kadłuba „Haiyang” oderwał się niewielki, stożkowy kształt kapsuły ratunkowej. Jej jaskrawe, pomarańczowe bur-

ty były widoczne z daleka. Umieszczona wokół wężu bateria silników raketowych na paliwo stałe pchnęła kapsułę, ustawiając ją na torze lotu prowadzącym wprost w atmosferę Marsa. Gdy wypaliło się całe paliwo, pod wieńcem silników zabłyśły ładunki pirotechniczne odrzucając zbędny ciężar. Bezwładnie dryfujący wrak niszczyciela pozostał daleko z tyłu, a jego ruchy stawały się coraz bardziej chaotyczne i nieprzewidywalne. Z pokieraszowanego wnętrza dobiegało niezemskie światło radioaktywnego stosu. Atomowe piekło wydostało się zza popękanej osłony reaktora. Wtedy we wrak uderzyły dwie kolejne chmury uranowych podpocisków, wystrzelonych ze znikającego już za krzywizną planety Fobosa. Mimo, że ich prędkość została zredukowana o postępowy ruch orbitalny księżyca, dopełniły dzieła zniszczenia. Mrok kosmosu rozjaśnił się naraz, gdy reaktor „Haiyang” przekroczył masę krytyczną. Na orbicie wykwitł bezgłośny błysk eksplozji pochłaniając wrak wraz z całym wyposażeniem. Kilka rzadkich obłoków zasnuwających marsjańskie niebo ugięto się w widoczny sposób pod wpływem fali cieplnej. Atomowa kula zgasła pozostawiając jedynie kilka wypalających się jeszcze przez moment punktów. Gdy one zgasły, nikt przy zdrowych zmysłach nie byłby w stanie powiedzieć, że temperatura w tym punkcie na chwilę osiągnęła wartości wewnątrz gwiazdy. Na obwodzie widocznej już jako punkt kapsuły zgasły światła pozycyjne, gdy dotarł do niej jedyny efekt atomowego wybuchu. Impuls elektromagnetyczny dosłownie usmażył całą elektronikę skazując uciekinierów z niszczyciela na zagładę. Wokół obłych kształtów kapsuły poczęły pojawiać się strugi powietrza, gdy wchodziła coraz głębiej w atmosferę Marsa. Rosnącego przeciążenia nie korygowały milczące dysze silników manewrowych, którymi nikt nie był w stanie sterować.

EPILOG

W największym hangarze kolonii „Aldrin” panował prze-
rażliwy chłód. Wzdłuż wąskiej, ledwie widocznej szczeliny łą-
czącej wrota wlotowe natychmiast pojawił się lód, gdy wytrą-
ciła się tam ta niewielka ilość pary wodnej, znajdującej się w
suchym, metalicznym powietrzu. Wzdłuż jednej ze ścian leżały
trzy ciała, pieczołowicie owinięte białą tkaniną i nosze okryte
srebrzącą się tkaniną izolacyjną. Obok stało pięć postaci, wy-
prężonych na baczność, spoglądając na obły, stożkowy kształt
przelotowego transportowca. Takim, jakim zazwyczaj trans-
portowano urobek z kopalń na powierzchni Marsa. Tym ra-
zem osiągnął szczyt swoich możliwości docierając na tak wy-
soką orbitę. Głośno trzasnął otwierany właz ładowni ukazując
kilka stojących za nim osób. Wszyscy odziani byli w jasne, ko-
smiczne skafandry, jakby nie dowierzając meldunkom, przy-
słanym przez zespół kapitan Larousse. Wśród opuszczających
szeroki kadłub rakiety była również wysoka sylwetka Maxa
Rupert. Jako jedyny, odziany był jedynie w ciepłą kurtkę i
zwykłe spodnie. Powoli zszedł po szerokiej, lekkiej rampie na
dół, w zadumie spoglądając na leżące ciała. Przebiegł wzro-
kiem po szeregu ocalałych. Z ulgą rozpoznał kapitan Daphne
Larousse, z mniejszym entuzjazmem zauważył, że irytujący
Allan wciąż był gotów uprzykrzać życie wszystkim wokół.
Bładość na jego twarzy wskazywała jednak wyraźnie, że nie
jest w szczycie formy. Widniejące nieco niżej dwie przestrzeli-
ny w pancerzu wyraźnie wskazywały, że podczas walki musiał
odnieść jakieś obrażenia. Myśli Ruperta rozwiął energiczny
meldunek pani kapitan.

– Melduje zespół uderzeniowy w składzie pięciu osób.
Straty bezpośrednie. Deimos dwie osoby, „Aldrin” trzy osoby.

– Głos kobiety niósł się daleko w korytarze opustoszałej bazy, odbijając się echem, niknąc w labiryncie tuneli.

– Kolonia w stanie nieuszkodzonym. Reaktor, zespół raketowy i broń Gaussa w stanie gotowości. – Zwierzchnik sił zbrojnych konfederacji – zwierzchnik sił zbrojnych konfederacji w milczeniu wysłuchał panią kapitan i uściśnił serdecznie jej drobną dłoń.

– Dziękuję wam wszystkim – uśmiechnął się zdawkowo, ponuro patrząc na ciała zabitych. Jego uwagę przykuły nosze. Widząc pytające spojrzenie Ruperta, pani kapitan wyjaśniła, nie patrząc na bezwładnie leżącego rannego

– Jedyne z załogi, który przeżył. Ciężko ranny, nie wiem, czy przeżyje podróż na powierzchnię. Prawdopodobnie nazywa się Borell. – Głównodowodzący pokiwał głową dając znać ręką, by nowo przybyły zespół medyczny skontrolował stan całego oddziału.

– Teraz bez oporów oddajecie się pod opiekę lekarza i wracacie z powrotem do Oudemanns – na twarzach żołnierzy pojawiły się słabe uśmiechy, wzbudzone przez Gavoffa. Jak zwykle, bez szacunku do jakiegokolwiek szarży mruknął wystarczająco głośno, by usłyszeli go wszyscy wokół.

– Najwyższa pora drogi panie, w tej grawitacji wyrzygałem już wszystko, co zjadłem przez ostatni miesiąc...

– Nie wątpię... – Tym razem w tonie Maxa Ruperta nie było gniewu ani złości. Z podziwem odprowadził wzrokiem pięcioosobową grupę żołnierzy, którzy zdołali ocalić swych pobratymców na Marsie. Bez ich poświęcenia, powierzchnia Czerwonej Planety najprawdopodobniej już dawno zamieniłaby się w radioaktywną pustynię. Mimo słów Kapitan Daphne Larousse, mówiącej na odprawie przed lotem coś wręcz prze-

ciwnego, każdy z nich był bohaterem dla całej marsjańskiej populacji...

* * *

Opustoszałe koszary Oudemanss wypełniała całkowita cisza. Na korytarzach, o zgrozo, wały się porzucane serpentyny i masa papierzyśk nieznanego przeznaczenia. Kilka stolików w stołówce straszło brudnymi zastawionymi naczyniami. Z kajut mieszkalnych dobiegał za to zgodne, chóralne chrapanie. Może poza jedną. W ciemnościach zalegających jej wnętrzu niemal bezgłośnie pracował układ wymiany powietrza. Świeżo awansowana major Daphne Larousse leżała na wąskim łóżku. Krótka koszulka zasłaniała do połowy idealnie wykrojone uda – zbyt idealnie. Cicho zaszumiały serwomotory nóg, gdy poruszyła nimi, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi, ciemnymi oczyma. W mroku skrzypnęła klamka. Na ten dźwięk, jej kształtne usta rozchyliły się w uśmiechu. Na syntetycznej skórze nogi przesunęła się dłoń, podążyła dalej, dotykając naturalnego ciała Daphne powyżej kolana. Cała zadrżała. Usłyszała jego oddech i poczuła jak koszulka wędruje do góry. Dotyk męskich ust na płaskim, napiętym jeszcze brzuchu spowodował, że powoli rozluźniła mięśnie.

– Już po akcji – szepnęła w ciemność. Po chwili, oderwał usta od jej aksamitnej skóry i w mroku odezwał się głos Jamesa.

– Teraz jest czas przyjemności...

koniec